

# Synowie ziemi



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

## *Synowie ziemi*

Osią życia całego jest Miłość i Śmierć. Wszystko cokolwiek istnieje w świecie ludzkości: rodzina, gromada, państwo, wojna, narody i rzezie, to rzeczy uboczne, konieczne, by zabezpieczyć pokolenia, które z miłości wykwitły. To tylko pomocnicze środki, by móc dalej żyć i dać pokoleniom swoim ochronę.

Jeszcze na ławie szkolnej, gdym był młodzienaszkiem i starałem się wnikać w zagadkę bytu, ogromnie uderzyło mnie zdanie Schillera, że „miłość i głód” to dwa bieguny całego bytu. Badałem potem prawie wszystkie nauki przyrodnicze i wszędzie widziałem jeden i ten sam fakt: miłość. I nie rozumiem, że wzięto tak banalnie i trywialnie to pojęcie. Miłość w moim pojęciu, to, raz jeszcze powtarzam, to, com tyle razy już mówił, kosmiczna potęga, to przeznaczenie całej ludzkości, to jej moc, która nad człowiekiem stoi i wymrzeć mu nie pozwala.

Miłość w moim pojęciu, to nieznaną człowiekowi siłą, która odradza i wskrzesza życie w nieskończoność.

Miłość w moim pojęciu, to ta wielka tęsknota, która może się stać i wielką męczennicą, ku zupełnemu zespoleniu się dwóch płci, by ród ludzki wyszlachetniał i do Absolutu doszedł.

W imię tej to miłości, tej tęsknoty do absolutnego zespolenia się, człowiek cierpi, pracuje, męczy się, stacza walki, nawzajem się wymordowuje, a plonem tego to to, co nazywacie uszlachetnieniem i postępek rasy ludzkiej.

Do tego rdzenia życia chciałem dotrzeć, i wobec tego najgłębszego zagadnienia bytu nie myślałem o rzeczach ubocznych, drugorzędnych, które wszystkie tkwią w tem jednym ognisku, w tym ogniu, o którym już Pitagoras mówił.

Badałem wszystkie przejawy miłości, by w ten sposób stworzyć sobie całokształt mego poglądu na byt. Droga daleka, bardzo daleka.

I dużo czasu jeszcze upłynie, zaczem Sfinksowi chociażby jedno słowo prawdy z jego szydzących i tajemniczych ust ludzkość wyrwać zdoła.

Może po mnie znajdzie się znowu taki, który prace moje i próżne usiłowania podejmie, a wierzę, że w końcu przyjdzie wielki Napoleon słowa i twórczości, który sfinksową zagadkę rozwiąże i wygnaną z raju Świątości i Czystości Miłość do chramu świętego ludzkości napowrót wyprowadzi i na ołtarz odwiecznych przeznaczeń wzniesie.

Taką miłość świętą i tęsknotę za coraz doskonalszym zespoleniem się dwóch płci, dążących do swego Absolutu, otóż to, co w moich twórcach dawałem.

Miłość i tęsknotę, która jest jedyną siłą rzeczywistych twórców.

A kobieta i mężczyzna taką miłością zespoleni, dążą na oślep dalej i dalej w tę jasną przyszłość, poprzez morza, poprzez zamrażającą skorupę lodu, pod którą nieznaną tajemnicę bytu w olbrzymim a groźnym majestacie spoczywają. Poprzez huragan wichru wszelkich przeciwności losu.

Poprzez mgły i ciemności przesądu, ufni w swą siłę, wiecznie do nowego a coraz wyższego życia odradzającej miłości.

Tym akordem zakończyłem drugi okres mej twórczości, który się rozpoczyna „Tańcem Miłości i Śmierci”.

### I. MALARYA

Czerkaski siedział zamyślony.

Tak pusto było dziś pod pawiem, a przecież zwykle o tym czasie, tak rojno bywało i wesoło.

Właśnie dziś, gdy szukał towarzystwa, gdy po tylotygodniowej samotności zapragnął ujrzeć te twarze, takie mu obce i takie znajome, gdy chciał posłyszeć dźwięk cudzej mowy, gwaru, muzyki...

Wlepił bezmyślnie oczy w drzwi. Na drzwiach wisiał rysunek: paw z podniesioną nogą, pyszny, zuchwały, z roztoczonym ogonem...

„*Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui...*”

Tak, to symbol dla niej. Ona była tym pawiem, strojnym w przepych i bogactwo: pyszna, próżna, zimna — och, jaka zimna...

A przecież niedawno, zaledwie przed dwoma miesiącami siedział tu z nią razem. Z nią razem? He, he — tak, razem, ale ona nie była przy nim. Że też był tak ślepy! Niczego nie widział!

„*Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui...*”

No tak! tak Pan Bóg chciał.

Spojrzał na zegarek.

Tak, to dziś premiera jego dramatu... Co nie jest dramatem? Nawet szczęście mydlarza może być dramatem. Bo czyż to nie jest straszny dramat, czuć się szczęśliwym? Ma żonę, kocha ją, ona go kocha — he, he... a tu naraz noga się pośliznęła — komu? no, oczywiście mydlarzowi. Był podpity, poszedł razem z drugimi, nie wie nawet, jak się to stało... I nagle szczęśliwa para małżeńska znajduje się u lekarza chorób skórnych... Panie doktorze, mówi biedny mydlarz, jestem ostatnim łotrem — ale się stało. O to jedno proszę i błagam pana, nie niszczonego szczęścia małżeńskiego, nie nie wyjaśnij pan mej żonie natury naszej choroby... Wchodzi ona, ta cnotliwa małżonka, nieświadoma ni grzechu ni złego... Doktor bada. Po długiej, długiej chwili: Łaskawa pani, wniosłaś pani w dom straszne nieszczęście! Ona płacze. Doktor: nie chcę niszczyć waszego szczęśliwego pożycia. Utwierdź pan męża w mniemaniu, że on temu winien, ale pod jednym warunkiem, że pani nadal nie będziesz go zdradzała...

Ot! i szczęście mydlarza stało się dramatem.

A cóż dopiero szczęście takiego człowieka jak ja! He, he, he.

Zaśmiał się na głos.

*Les paons nonchalants...*

Och! ten głupi, uporczywy refren!

Moje szczęście, moje szczęście — czyż to było szczęście? Nie! tylko jedna, długa męka, jeden ból, i cierpienie, i gniew...

Machnął ręką i znowu spojrzał na zegarek.

W tej chwili drzwi się otworzyły.

— Co widzę, Janek! Więc wreszcie wyszedłeś z twej nory? Szukaliśmy cię wszyscy, ale, dość niegrzecznie, nikogo do mieszkania nie wpuszczaliśmy. Mówiono, żeś wyjechał.

Czerkaski podał Szarskiemu rękę.

— Czasami człowiek potrzebuje być sam. Trzeba się nauczyć, być samym — a to trudna rzecz.

— A pewno, że trudna... Jaby nie umiał być sam...

Szarski spojrzał na niego mętłym wzrokiem.

— I cóż — pytał Czerkaski — pijesz jak dawniej?

— Cóż robić? Jeżeli kto pije, to ma do tego tysiąc i jeden powodów, a ja mam tysiąc i siedm.

— Jesteś nieszczęśliwy — co? — Czerkaski zaśmiał się na krótko.

— Nieszczęśliwy? Hm... Ale czemuż nie poszedłeś na swoją premierę?

— Po co? By pokłonić się publiczności za tę wielką łaskę, że mnie raczy oklaskiwać? Oni mnie się powinni pokłonić, że ja im tę łaskę robię i rzucam ochłap mego serca przed ich nogi.

Czerkaski znowu zaśmiał się pogardliwie.

— Zresztą dramat nic nie wart. Dość już tej głupiej fabuły, tych zawiedzionych miłości, złamanego życia, oszukanych małżonków, krachów bankowych...

— Więc co?

— Co? — Czerkaski się zamyślił... — Co? przedstawić serce, mózg człowieka na scenie, powyciągać te robaki z serca, z mózgu, upostaciować je, postawić na nogi, zrobić z nich żyjących ludzi, którzy się nawzajem zagryzają, szarpia, krwawia, rzucają się na wspólną ofiarę... jeden szepce do ucha podstępne myśli, drugi broni ofiary, a rozum stoi na głowie, albo łązi na czworakach. A co? rozum stoi zawsze na głowie — co? Zrobić taki wściekły karnawał serca ludzkiego, zrobić rzecz, która się dzieje w jednym sercu, a każde inne musi drgnąć, bo i w niem to samo się dzieje — i w trzecim to samo, i w dziesiątym...

Szarski patrzył zdziwiony.

— Więc takie alegorye!

— O nie! Powiązać to wszystko tak, że to żyje, pozostaje we wzajemnym stosunku, szarpie to biedne serce człowiecze, pcha je w przepaść, podrzuca jak piłkę w górę, znowu strąca w otchłań, aż, aż...

— Aż?

— Aż się skończy męka ludzka i rozpocznie się wsteczna metamorfoza.

— Wsteczna?

— Przez żołądek robaków, jak Szekspir mówi.

Nastąpiła długa pauza.

Z przyległych pokoi dochodził gwar i śmiech gości i stukot bilardowych kijów o kule kościane.

— Dziwnie się zmieniłeś — przerwał Szarski milczenie, które mu widocznie było niemiłe bo stawał się niespokojnym.

— Ja się zmieniłem? Nie, nauczyłem się tylko być sam.

— A dziś?

— Dziś było mi tęskno za ludźmi.

— Słuchaj, Janek, byliśmy przyjaciółmi, a dziś jestem taki onieśmielony...

Czerkaski spojrział na niego smutno i przyjaźnie.

— Och, nie, nie! Ja cię kocham, jak cię kochałem. Tylko wielkie nieszczęścia zmieniają ludzi, tak samo, jak wielkie szczęście...

— Więc czujesz się nieszczęśliwym?

— Nie, to nie! Tylko mi wstyd dawniejszego życia... — zamyślił się. — Trzeba być hardym i splunąć na to głupie mamidło, które szczęściem nazywają. Wiesz, co Nietzsche powiedział?

— Co?

— „Czyż żyłem kiedy dla mego szczęścia? Dla mego tworu żyłem...” Artysta, który nie umie sobie tego powiedzieć z tą samą dumą, nie jest artystą...

— A miłość?

— Piasek, którym nam życie oczy zasypuje. He, he, — miłość, miłość, miłość... Les poans nonchalants... To dobre dla Kuby lub Mačka, ale nie dla tego, który tworzy...

Drzwi się otworzyły, do pokoju weszło z hałasem kilku młodych ludzi. Byli podnieceni, widocznie pod wpływem silnego wzruszenia.

— Jezus Marya, Czerkaski!

Czerkaski rozśmiał się nagle wesoło.

— No, wróciłem z dalekiej podróży. Nie cieszyście się?

— Ale drogi, kochany chłopie! A tam w teatrze tryumf, tryumf! Jak Kraków Krakowem, nie było jeszcze takiej premiery.

— To znaczy, że dramat nic nie wart!

— W górę, w górę! — krzyknęło kilku. Wszyscy rzucili się ku Czerkaskiemu.

— Ale dajcież mi spokój! Chryste Panie, bo mnie udusicie! — Zadzwoił. — Pięć flaszek szampana! Właśnie tyle wart mój dramat. Hej, Stasinek, zagrajno „Słońce i pogoda”, dawno już nie słyszałem.

Stasinek siadł przy fortepianie i zagrał gwałtowny tusz; potem zaczął z olbrzymim ferworem wybębniać mazurską piosnkę.

I zaczęto chórem śpiewać, że mury się trzęsły:

„Będziemy se fiołeczki smykać,

„Będziemy se ku sobie pomykać...

Przed paru miesiącami siedziała tam naprzeciwko ona — ona rozpromieniona, wesoła... Czerkaski drgnął.

— Hej do dyabła! Kiedyż będzie ten szampan?

— To dobre, to bardzo dobre — Winiarski przysiadł się do Czerkaskiego — tylko czemuś to dramatem nazwał?

— Jaktó?

— Kobieta, która z rąk do rąk przechodzi, nie może stać się dramatem dla człowieka.

Czerkaski zaśmiał się.

— Och, ty słodka gołębia duszo...

— Hej, Janek, twoje zdrowie! — powstał jeden z malarzy. — Jać tam gadać nie umiem, ale jako najstarszy wnoszę *ex officio* i *ex amore* — przepraszam panów, może jako błąd zrobiłem, ale to już tak dawno, jak odmieniałem officium, — a więc *ex officio* wnoszę zdrowie tego, tego... no, jakby to powiedzieć... — potarł ręką łysinę... — Dajcie mi tylko chwilkę czasu...

— Zmartwychwstańca — podszepnął ktoś.

— Nie! Tego, tego...

— Proszę żadnych dywagacji! — mruknął Stasinek.

— Cicho! Siwczel! Patrzcie tylko, jaki on siwy! Zresztą od czasu, jak Mallarmé napisał swe *Divagations*, stały się dywagacje formą literacką...

— Do rzeczy, do rzeczy! — krzyknął ktoś z kąta.

— Tak więc, panowie, wnoszę zdrowie tego, który jest coś wart. *Fertig! Schluss!*

— Hola, ho! — ryknął Stasinek, który już samą atmosferą się upijał.

Zapanował dziwnie podniecony nastrój — gwar, hałas śmiechy, dyskusye...

— Właściwie nie spodziewałem się, żeby ta niesforna banda naszych artystów była tak dobrze wychowana — szepnął Stasinek jakiemuś młodzieńcowi do ucha. — Ani słowa aluzji do tego szczęścia, które Czerkaskiego spotkało.

— Głupiś — odburknął młody poeta.

— Tylko widzisz mówił Winiarski tajemniczo do Czerkaskiego — Grecy mieli zdziwiająca rzecz; chór! chór! Nasza głupia demokratyczna sztuka zatraciła chór! trzeba go odnowa wprowadzić...

— I po cóż ma ci się ten chór plątać po scenie? Francuzi mają ten nowoczesny chór takiego rezonera, który wszędzie się wkręci, wchodzi na scenę i wychodzi, nie wiadomo po co i na co?

— A! nie tak! Powiązać go z akcją — tak, że zrośnie się z nią, weźmie w niej udział... Maeterlinck ma to czasami — ale u niego to niespokojnie, wychodzi na wierzch, rzuca się w oczy, i ustawicznie ma się to wrażenie, że pokazuje palcami: teraz czekajcie, bo stanie się nieszczęście!

— Walca, Stasinek, walca!

Stasinek siadł przy fortepianie i niepewnymi palcami błędził po klawiszach z wielką, a pijacką mocą.

Rozległ się nagle wesoły, gwarny śmiech.

Jeden z malarzy udawał, w takt walca, żonglera, który podrzuca kule do góry. Robił to z taką zręcznością, że w istocie zdawało się, iż kule podlatują, spadają; ręce malarza podrzucały się do góry, krzyżowały w podrzucie, cały korpus jego podrywał się, to znowu przysiadł, oczy biegły z natężoną uwagą za iluzorycznymi kulami, wychodziły na wierzch, zdawały się chwytac je w powietrzu, wchłaniać je w siebie i znowu je w górę podrzucać.

Czerkaski śmiał się jak dziecko. Zapomniał o wszystkim. Śledził tylko z natężoną uwagą ruchy, podrygi, podskoki malarza...

— Jak to dobrze, że tu przyszedłem — szeptał do Szarskiego. — To mózg rozpręża.

— Graj, Stasinek, graj!

Stasinek upadł ze zmęczenia, ale na grzmiący rozkaz jął znowu szukać klawiszy.

Jeden z najmłodszych począł przetwarzać dźwięki na linie... Rozwiesił rolkę papieru na ścianie, przymocował gwoździkami i począł się walc malarski. Stasinek grał i grał.

Czerkaski zniknął na chwilę: na stole pojawiło się świeżych pięć flaszek.

Na papierze kłębiły się z zadziwiającą szybkością linie, plamy, w kołach, spiralach, parabolach; w kilka minut zakolysało się morze, za kilka sekund wygramolił się potworny



Neptun, kilka ciał kobiecych, w sfalowanych liniach, wynurzyło się z morza, potworne, ohydne Nimfy tłoczyły się ku Neptunowi...

— Dość, Stasinek!

Malarz stanął, obejrzał się dookoła i rzekł:

— *C'est pour épater...*

— *Le cul de l'humanité!* — krzyknął Szarski.

— Publiczność! — wrzasnął Czerkaski, mocno podochocony — *cul de l'humanité!*  
ha, ha, ha...

— Właściwie moi panowie — Stasinek kiwał swą białą głową na wszystkie strony — niechaj mnie kto objaśni, co to znaczy publiczność? kto to jest publiczność?...

Ryk śmiechu.

Nagle powstał Czerkaski.

— Panowie, proszę o głos!

— Mistrz ma głos!

— Pytanie Stasinka, nie było tak głupie, jak się zdaje. Długo, sam nad tem myślałem, aż wreszcie znalazłem odpowiedź w romansie pana Markiza de Sade — wiecie, że lubię straszyć publiczność panem de Sade, tak, jak ongi Baudelaire wystraszał pocziwych burżujów za drzwi, gdy nie mógł znieść ich widoku, tem jedynem pytaniem: Czy jadłeś pan już kiedy mózdzek małego dziecka? Otóż tak samo ja, aby odstraszyć porządnych ludzi od tego tu przybytku, w którym możemy być sami, opowiadam im, że się tu odprawiają czarne msze...

— Ha, ha, ha...

— Pozwólcie, panowie — dywagacje są formą literacką, jak słusznie ktoś przede mną zauważył. — Cierpi wprawdzie na tem sam mistrz, to znaczy ja, bo uchodzę za satanistę, łotra, herszta, ale mnie to robi równą przyjemność, jak Baudelaire'owi. Trochę blagi w tem, trochę kpin, trochę pogardy, a wszystko razem: *pour épater le cul de l'humanité!*

— Do rzeczy, do rzeczy!

— Zaraz! Od siedmiu lat studuję sekty satanistyczne i na tym punkcie jestem kompetentny...

— Proszę nie nudzić!

— Zaraz! Otóż przekonałem się, że nie pojedyncze jednostki są satanistyczne, ale to *gros, die compacte Majorität*. Nietzsche bardzo się myli, jeżeli mu się zdaje, że odmienił i przenicował wszystkie wartości. Ta publiczność, ten przez nas pogardzony motłoch dawno już tego dokonał. — I teraz moi panowie przystępuję do jądra rzeczy.

Odchrząknął, wypił szklankę szampana i mówił dalej.

— Jest jeden pan, który się nazywa Borel. Napisał marną książkę: *Le Lycanthrope „Madame Putiphar,”* książka wydana 1818 r. w Paryżu w ósemce. Tam stoi napisane: Każdy porządny człowiek powinien mieć przynajmniej jeden tom Sade'a w kieszeni. A ponieważ jestem gentleman i bibliofil, więc mam przy sobie te dwa małe pierwsze tomiki: *Justine ou les malheurs de la vertu, en Hollande, chez les libraires associés 1791*. Rzecz bardzo rzadka.

Ucichło nagle, wszyscy, zaciekawieni, słuchali z natężoną uwagą.

Czerkaski znowu odchrząknął, obejrzał się dookoła, wyciągnął z paletota małą książeczkę.

— Chciecie się dowiedzieć, czym jest publiczność? Zaraz, zaraz...

Począł wertować.

— Mam! Strona 28. Madame Delmonse mówi do Justyny: „Nikt nie żąda od nas cnoty, tylko maski cnoty. Jestem nierządnicą, jak Messalina, a wszyscy wierzą, albo zdają się wierzyć, że czysta, jak Lukrecya. Jestem gorszą ateistką od Vaniniego, a wierzą, z uśmiechem wierzą, że jestem pobożna jak św. Teresa. Jestem fałszywa jak Tyberys, a z zezowatem spojrzaniem na bliźniego twierdzą, że jestem szczerą jak Sokrates. I pewną rzeczą jest, że jestem trzeźwą jak Dyogenes, pomimo że Apicyusz nie dorównałby mi w rozpuście. Oddałam się występкови, ohydzie, zbrodni, ale spytaj się mych bliźnich, a powiedzą: Delmonse jest aniołem!”

W gwarnym i rozbawionym przed chwilą, „nonszalanckim paonie” stało się naraz dziwnie pochmurno i posepnie.

Każdy z tych „artistes maudis,” tych nędzarzy, co torowali drogi przyszłości, tego nawozu, z którego miało jakieś sprytnie ziarno wyciągnąć najkosztowniejsze zasoby do życia, z jego pomocą wybujać i przynieść obfity plon, każdy z nich czuł nad sobą tego straszego upiora, co ich dławił, powalał o ziemię, tratował, niszczył, — a ich kosztem się żywił, krwią ich serca się odnawiał, myślą ich myślał...

— Publiczność, drogi Stasinku, to Madame Delmonse, a rajfurka pani Delmonse, to prasa!... Nie Nietzsche, ale madame Delmonse wyrzuciła na ręby wszystkie wartości. Zagładza was, a po śmierci stawia pomniki. Odżywia się kosztem waszego życia, a pogardza wami. Rzuca wam jałmużnę pięciu centów od wiersza, a zyskuje na tem miliony... Ale głupstwo! Panowie piję zdrowie pani Delmonse. Na pohybel Nietzschemu! Ha, ha, ha...

Rozśmiano się nieszczerze, krzyknięto nieszczerze:

— Vive Madame Delmonse! Na pohybel Nietzschemu!

Ale to nieszczerze...

Upiór wpijał w gardło swe szpony, dusił, dławił, ssał krew: a za to chleb ci daję! Pięć centów od kwadratowego centymetra, pięć centów od wiersza, pięć za funt gliny!

— Hej, Stasinek! zagraj „Słońce i pogoda.”

— Właściwie należy ci się to za godną i do prawdy najwięcej zbliżoną definicyę publiczności.

Biedny Stasinek siadł znowu przy fortepianie.

— No tak, tak, co to, to prawda — mruknął młody rzeźbiarz. — Kurzawę zabili — zabili! — huknął pięścią o stół.

— Podkowińskiego zabili! A teraz go żałują — mruczał Winiarski. — Niech czekają, nim takiego drugiego dostaną.

— Jednak, psia krew, jak satanizm kwitnie! — krzyknął młody pan w bardzo wytwornem ubraniu. — I to nas, nas, nazywają wyrzutkami, potworami, satanistami — hu, hu! Za to, że parę flaszek szampana wypijemy. Madame Delmonse liczy nasze kieliszki!

— „Słońce i pogoda,” „Słońce i pogoda.”

— „Będziemy se fiołeczki smykać...”

Stasinek dobywał reszty sił, a jego siwa główka kiwała się na wszystkie strony...

Na rysunku nonszalanckiego paona, zawieszonym na drzwiach, rozparł się młody człowiek, i patrzył ze spokojnym, cichym uśmiechem, i kiwał głową z głęboką rezygnacyą.

Szarski podszedł taczając się ku niemu.

— Janusz, Janusz — zafantowali mi fortepian!

— Mam jeszcze jeden na składzie, jutro ci go przyślę.

— Janusz, kochasz mnie?

— Kocham.

— Pożycz mi, Janusz, 30 reńskich. Możesz?

— Mogę!

— Ale, Janusz, ty nie możesz — ja wiem, że ty nie możesz...

— Mogę, bo tak, czy tak, wszystko dyabli wezmą

— Co?

— *Muero, porque no muero!*

— He?

— Umieram, bowiem nie umieram.

— Jakto?

— No, przecież tak młody liryk przetłómaczył to, co Krasieński przed nim przełożył: I tem umieram, że umrzeć nie mogę...

— Janusz, co klepiesz?

— Konam, a skonać nie mogę. To znaczy, że od kwartału bankrutuję.

— To co innego! Janusz, kochasz mnie?

— Kocham! Masz trzydzieści reńskich.

— „Słońce i pogoda...”

— Chryste Panie, mogą człowieka ogłuszyć! — szeptał delikatny Winiarski. Jego suchotnicza twarz była trupio-blada.

<sup>1</sup>*Muero, porque no muero* — fragment *Tęsknoty za życiem wiecznym* św. Teresy z Ávili. [przypis edytorski]

— Robaczki! robaczki! Sataniści, sadyści, słuchajcie! — Szarski krzyczał na cały głos. Uciszyło się.

— Hrabia Ziuziu kupił sobie fonograf za dwa tysiące reńskich, pan Domaszyński automobil, nasz wielki mecenas, który co tydzień pisze obrachunki naszych grzechów, spoczywa w objęciach zacnej, szlachetnej pani Delmonse — a my, my, nędzarze, nawóz — ha, ha, ha...

— Ha, ha, ha!

— Czegóż się śmiejecie? Norwid, Barwiński, Sowiński, Kurzawa, Podkowiński — tysiąc innych: dobre towarzystwo... Otóż oni, ta potężna pani Delmonse ma tysiące i miliony na swoje orgie; ja mam od Janusza trzydzieści reńskich na niewinną zabawę! Kelner, hej, kelner! Pięć dorożek... Zaraz, w tej chwili — orient-expressem!

— Orient-expressem! ha, ha, ha!

— Panowie, na Wolę! na Wolę!

— Dobrze, na Wolę!

Czerkaski siedział, wtulony w kąt kanapy, w głębokiem zamyśleniu. Wytrzeźwiał nagle.

Wszyscy hurmem gromadzili się ku drzwiom, chwytno za paletoty, dorożki zajęły...

Czerkaski wymknął się niepostrzeżenie.

Szedł przez planty do domu.

W dali słyszał turkot dorożek. Na Wolę — na Wolę!

Czemu nie pojechał z nimi?

Ogarnął go głęboki smutek i uczucie niezmiernego osamotnienia. Czuł się osieroconym — wygnanym przez los ojczyzna z chałupy w świat — w świat! I noc! A tu wiatr gwizdże, świszcz w poźółkłych, wpół zgniłych rżyskach, i deszcz siecze go po twarzy, biedne łachmany zmoczone do nitki, deszcz sieka mu po członkach, wsiąka w każdą szczelinę jego ciała — po drodze straszą nagie wierzby — idzie przez pola i ugory, oset szarpie mu ręce, noga lgnie w miękkiej gliniastej ziemi, raz po raz zapadnie się w rów, to znowu potknie się o miedzę — ale idzie, idzie — dokąd?

Obejrzał się zdziwiony.

Przecież to wiosna, wiosna!

Drzewa pękały i wypuszczały listki, miękkie kwietniowe powietrze muskało mu twarz gdyby edredonowym puchem, coś nieskończenie cichego zaległo nad tą pyszną aleją kasztanów — jakiś ton beznadziejnej tęsknoty, coś tak zamkniętego w sobie, że nic nie zdołałoby rozerwać tego skupienia, coś, co tylko szeptem wypowiedzieć by można, nie! nawet nie szeptem — tylko tą tajemną, ukrytą, wewnętrzną mową: muzyką.

Siadł na ławce, głęboko zadumany.

— Wiosna, wiosna! — szeptał cicho.

I jaka widna i szeroka rozpostarła się przed jego oczyma ziemia ojczysta.

Hej! rozkwitły już pola rzepiku delikatnem, woniejącem kwieciem, zieleni się już rozkosznym kobiercem ozimina, umaili się wierzby zielonym liściem, łąki popstrzyły się żółtym jaskrem, tulą się do trawy skromne anemony...

Zdjęła go tęsknota za domem rodzinnym — chciałby teraz tam być, chodzić, patrzeć chłonać to wszystko w siebie...

— Po co? — szepnął nagle.

Wszędzie ból, ból, cierpienie i ta straszna dola, przykucnięta na rozstajnych drogach.

Ale nie mógł się oderwać od tej wizji ziemi ojczystej.

Kiedy w ciemnych nocach straszą srebrne topole po drogach, gdyby widma w białe płachty przyodziane —

Kiedy z nad Gopła powstają wodne opary i srebrną mgłą rozścielą się na łąkach, a z chałup torfiarzy płynie, poprzez to morze mgieł, biedne, chore światło —

Kiedy mgła wznosi się i roztopia w mżącym dżdżu — o, to już za wiele, — to tylko rozplywanie się czegoś, co było zgęszczone, to tajanie jakiejś zadumy; od dna duszy odrywa



się jakiś mglisty szmat, skrapla się w długie, perliste łzy i spada znowu na dno duszy: jedna perła leż za drugą, coraz smutniej, coraz boleśniej... o Boże!

A cały świat staje się straszną, bolesną tęsknotą, w każdej łzie się odbija i spada z nią razem w jakieś przepastne głębie...

To płacz bez jęku — płacze się, a żaden mięsień twarzy nie zdradza płaczu. Płacze się długimi sznurami szklanych pereł w swoje własne serce.

I jako widna i szeroka przeciągła cała ziemia ojczysta przed jego oczyma ze swoim wielkim majestatem smutku, bólu i tęsknoty:

Kiedy nadejdą noce księżycowe — kiedy nagie rżyska świecą się, gdyby olbrzymia podkova gęstym, srebrnym gwoździem nabita, kiedy zalega taka straszna cisza, iż się zdaje, że świat cały na chwilę przestał kołować w swych błędnych kręgach, że zatonął w jakiejś strasznej, rozpacznej zadumie, kiedy...

Zerwał się nagle.

Wszystko koło niego stało się straszmem, i groźnem, i przeraźliwym.

I głos mu zamarł, jakby go coś ogłuszyło; czuł coś ponad sobą, co krzyczało za wyzwoleniem, a wyzwolić się nie mogło, coś, co czatowało na jego drodze gotowe do skoku, a po za sobą słyszał ciche powłóczyście kroki — tuż, tuż poza plecami — już go chwyta, już wpija się szponami w pierś, już wgrzyza się jadowitem żądłem w gardło...

Strach, strach!

Szedł szybko do domu.

Ochłonął nagle.

Ziemia rodzinna!

Tak, z niej, z jej błot, bagnisk, torfowisk wyszał ten jad, który mu każde uczucie przegryza i wszystko na ból przemienia.

Zaśmiał się cicho i znowu przystanął.

Tak! tędy wracał z nią do domu z nonszalanckiego Paona.

Zastanowił się.

Czy kochał ją kiedy? Kochał ją rzeczywiście? Byłaż to tylko próżność, że ma za żonę piękną i podziwianą panią?

Zastanowił się głęboko i sięgnął duszą aż do pierwszego spotkania.

Po cóż się łudzić, po cóż się okłamywać?

Od pierwszej chwili, próżność, próżność!

Próżność ich połączyła, związała, skuła, potem dzieci silniej jeszcze węzły zadzierżnęły — no, tak!

On był sławny, ona owiana egzotycznym urokiem — tak! i ten zamglony, tajemniczy głos, poza którym żadnej tajemnicy nie było, bo dusza jej płytka, próżna i miałka...

Les paons nonchalants...

Duszo, moja duszo, czemuś mnie oszukała?

Nie kochał jej, ale chciał, by ona go kochała. A ona go nie kochała i kochać nie mogła, bo dusza jej za płytka i za miałka.

I tak parę lat szarpaniny, ustawicznej męczarni. Parę lat wysiłków, by nawzajem nowe tortury dla siebie wyszukiwać, by się coraz wyrafinowanej szpilkiwać, kłuć... ach! w tem byli niezrównani!

I jak lekko się rozstali!

Widział ją przed sobą, jak wrogim i hardym wzrokiem patrzyła na niego:

— Teraz wiem, żeś pan mnie nigdy nie kochał. Uwalniam pana z tego ciężkiego jarzma małżeństwa.

A on zimny i spokojny:

— Nie graj pani komedyi. Zdawało mi się, żeś pani dumna, ale sumienie pani tchórzliwe jak u pierwszej lepszej szwaczki. Popelniałaś pani cudzołóstwo — all right — ale uniewinniać się przed sobą: wstydy!

— Brutal!

— Czemu? A może i jestem brutalny. To jedno tylko za złe pani biorę: taka dumna pani dała się wziąć na lep głupim, ordynarnym pochlebstwom — smarkacza!

Trzasnęła drzwiami.

Tak się rozstali.

Dobrze się stało. Tylko dzieci, dzieci, te biedne sieroty!

— Cóż to? poczniesz się rozkwilać? czy nie będziesz umiał wychować dwojga dzieci? Chcesz się koniecznie odziewać togą nieszczęścia, kiedy to nieszczęście jest twojem szczęściem?

Och, jaka ta dusza kłamliwa i zła!

Była dlań męczarnią i bólem — wyzwolił się wreszcie, a teraz miałby ochotę udawać nieszczęśliwego, zdradzonego Cicisbeo!

Och, nie, nie! Nie pozwolę się ani okłamywać, ani podchodzić.

Jestem wyzwolony!

Co cierpiało? Głupi, samczy instynkt, że opuściła go dla — smarkacza. Jego, Czerkaskiego dla — smarkacza. Ha! cóż robić? *La femme de trente ans*<sup>2</sup>.

Przyszedł do domu, położył się na sofie i powłóczył leniwie oczyma po ścianach.

Na ścianach były porozwieszane sztychy, podług obrazów Goyi, odtwarzające sceny z sabatów czarownic.

Tam, piekielna szatańska procesya, skłębiony chaos ludzi obojga płci, wszystkich stanów, każdego wieku. Kobiety napół nagie, z rozwianym włosiem, w dzikich podskokach w epileptycznych kontorsjach, z nieludzko powykręcanyimi członkami, z twarzami powykrzywianymi w dzikich rzeniach śmiechu, jęku, krzyku: bestya w człowieku uwolniła się z pęt, piekielna chuć sprzegła się z pragnieniem krwi, rozpusta i obłęd podniecają się do najstraszniejszej ekstazy w delirjach bólu...

Tam znowu, wielki pan ziemi, ojciec nędzarzy, zrozpaczonych, szukających, ojciec tych, co grzeszą, co wątpią, co się buntują, siedzi w wielkim majestacie na olbrzymim bloku skały, straszny, potworny. A u stóp jego, w skupieniu grozy i strachu, przykucnęła gromada ludzi, jego olbrzymia parafia, która ślepo jego rozkazom jest poddana.

Siedzi dumny i wspaniały, bo on jest rzeczywistym władcą ziemi. On opanował mózg człowieka i państwo myśli które wciąż odnowa wywracają prawa i niszczą stare tablice, — on wzbudza ciekawość, by rozgmatywać ciemne zagadki i rzeczy, w które ludziom wnikać nie wolno, — on tłómaczy ukryte runy nocy, on daje odwagę, by niszczyć szczęście tysięcy ludzi, aby tylko wytworzyć coś nowego na gruzach, — on wywołuje zbrodniczą chuć, która we wściekłym pragnieniu, by nowe wskrzesić bytu warunki, ziemię rozkopuje, najodleglejsze dale zbliża do siebie, niebo na ziemię ściąga, a państwa ziemi przetrząsa gdyby kostki w skórzanym kubku.

Ścigany, tępiony, wyrasta z własnych popiołów coraz potężniejszy, a wiecznie zwyciężany, pozostaje zawsze zwycięzcą.

A imię jego jest ból i cierpienie. A bólem i cierpieniem jest życie.

A imię jego jest zło, bo wszelki ból tworzy zło, albo korzenie jego tkwią w pierwiastku zła.

I widział go, jak świat cały okrążał, jak obejmował go swojemi szponami, jak zatrwał swym jadem każdą myśl człowieka, wciskał się do pałaców i do nędznych chat, do kościoła i do sal prawodawców, jak niszczył i rozprzegał wszystkie stosunki, siał nienawiść między ludźmi, wzbudzał gniew i zemstę.

Bo imię jego jest wieczna zmiana, wieczne niszczenie i wieczne odrodzenie.

«Od powietrza, głodu ognia i wojny,  
I od szatana, co w dom przychodzi  
I dusze zwodzi,  
Zachowaj nas, Panie!»

Czerkaski drgnął. Tak! przyjął go w dom, całem ciepłym sercem, otwartemi rękoma, a potem, potem — he, he: dom jego splamiony cudzołóstwem.

Wstał ze wstrętem i chodził po pokoju.

Myśli leniwo, ciężko przesuwają się w jego głowie, gdyby ołowiane, porozstrzępiane szmaty chmur po burzy.

Przystawał, siadał, to znowu bezmyślnie bawił się rozmaitemi przedmiotami, aż wreszcie oczy jego spoczęły na marmurowej grupie, którą mu przyjaciel, rzeźbiarz, podarował.

<sup>2</sup>*La femme de trente ans* (franc.) — *Kobieta trzydziestoletnia*. Taki tytuł nosiła jedna z powieści Honoriusza Balzaca z cyklu *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

Siedzący mężczyzna, a na jego kolanach kochanka. Oplotła jego szyję rękoma, on ją przygarnął całą siłą do swych piersi — świat zanikł, nic nie istnieje prócz nich obojga, stracili poczucie czasu — błądzą w wieczności, są światem sami dla siebie.

Posmutniał.

Miłość! miłość! Ta jego ustawiczna tęsknota, ustawiczne pragnienie. Czemuż nie był nigdy kochany — czemuż nie mógł być kochanym?

A może twórca nie może być kochanym przez kobietę? Czyż nie jest on właściwie li tylko metafizyczną istotą, a zewnętrzny człowiek, ten który pragnie, który czuje, błądzi i szuka szczęścia, tylko czemś przypadkowym, akcydensem?

I myślą przeżywał całe to biedne życie twórcy: jeden olbrzymi łańcuch nieszczęścia, zawodów, nędzy. Zdawało się, jak gdyby szatan-natura wysilała się, by niczego mu nie oszczędzić, jakby sama się przesadzała w pomysłach nowych katuszy i tortur, coraz to straszniejszych cierpień i mąk. Bo jedyne źródło tworzenia to ból.

Na Wolę! na Wolę! Nędzarze, którzy się przez chwilę chcą oszołomić, by jutro tem silniej i boleśniej odczuwać cały brudny ciężar życia.

Rodzą się nędzarami. Przyjdą na świat, bieda i niedostatek spoglądają w ich zdziwione oczy — potem straszna walka z życiem, na strychach i poddaszach, w głodzie, błocie, upokorzeniu... Ale idą na przebój. A szatan-los, nieodstępny towarzysz, co chwila nogę podstawią — padają, podnoszą się znowu, znowu się potykają... idą po twardej ścieżce, a szatański ogień błędny wabi ich na najgłębsze bagna — bo tak chciało ich przeznaczenie, że ze swej krwi, ze swego bólu, z błota i bagna życia, mają wskrzeszać cudotwórcze kwiaty, z brudu snuć złote przędziwo, a śmiecie życia pokrywać bogatym kobiercem piękna.

Na Wolę! na Wolę!

Jutro, kochany Szarski, nie zostanie ci z twoich trzydziestu reńskich ani centa, ale dziś stłumisz na parę godzin ból swego serca. I jutro znów głód i cztery nagie ściany, ale to dobrze, dobrze, bo tak chciało twoje przeznaczenie, byś dzisiaj niszczył wszystkie warunki życia, byś sam pod sobą dołki kopał, byś się wysilał na to, aby wszystkie mosty za sobą popalić...

Czemu?

Byś mógł tworzyć — ha, ha, ha...

I ta garstka nędzarzy, która odwala kamienie od pieczary kryjącej skarby Sezama; co szarpie i rozrywa swe serca, w pogoni za tajnią i głębią myśli i uczuć ludzkich; ci biedni nędzarze, co swoich braci w Chrystusie uczą czuć i myśleć — ha, ha, ha... nowe drogi torują, drą się przez gąszcze i zarośla, łamią gałęzie i tępią ciemne bory, by wreszcie ukazać to słońce, które przecież ma wejść ponad ludzkością...

Światła!

Z ciemnej pomroki wylaniały się Sukiennice i szlachetne linie kościoła Maryackiego. Jakaś dziwna czystość, odświętna białość Zielonych Świątek zaległa uroczystym, rozmodlonym czarem na Rynku.

Stał przy oknie i patrzył długo na tę jasnioletową, pełną tajemnego uroku, mszę poranną świtu.

Obiegł myślą całe miasto. Smutny a wyniosły Wawel, taki w sobie skupiony, hardy i ponury, jak człowiek w którym się całe życie załamało. Wkulony w siebie, cichy i do ziemi przykucnięty kościół św. Krzyża. Taki cichy, a taki wmyślony w swoje błogie szczęście — ten cudowny kościół, ta „Victoria regia” kościołów, co w cichej nocy rozkwita i zdumiona patrzy, jak się liście rozrastają, rozchylają, a z ich łona wystrzela nagle mistyczny kielich kwiatu. I kościół św. Katarzyny, rozpostarty na ziemi, gdyby dąb, strasznym huraganem wraz z korzeniami z ziemi wyrwany. I kościół Bożego Ciała, jak jedna, twarda, nieubłagana brama raj, przed którą, zda się, stoi Anioł z mieczem płomiennym. Obiegł duszą dokoła to białe miasto, tę skarbnicę wspaniałej, królewskiej przeszłości. Teraz się tu rozpanoszyli kramarze i profesorzy, i ukryta, tchórzliwa rozpusta, i głupia hipokryza — a wokół płynęła Wisła, leniwo, powoli — bo ma czas, ma czas! — płynęła i ziała zarazą malaryi na to wspaniałe miasto.

Wszędzie malarya! Malarya we krwi i tkankach wynędzniałego żebractwa i żydostwa, malarya w mózgu i nerwach tych niezdolnych do życia neurasteników, którzy się

kiedyś chmarą do niego cisnęli, malarya w sercach obłudnego, rozpustnego mieszczaństwa, o małej a niechlujnej duszy.

Zdawało mu się, że całe miasto zarażone było tą szatańską malaryą.

Widział ją w białkach oczu profesora, co z całym spokojem rozwijał tezę, kto ciągnie świnie na targ, powróż czy człowiek? Widział ją na pergaminowej skórze księdza, który był współtowarzyszem i współwinowajcą jakiegoś hrabiego, oskarżonego o nieczystą zbrodnię — malarya niszczyła całe pokolenie wykolejonych i wydziedziczonych, którzy, by żyć, dawali się używać w pokątnej prasie do najwstrętniejszych brudów.

Zaśmiał się smutnie.

Malarya! malarya! I jemu jad choroby poprzegryzał duszę, ręce opadły, a serce boli, boli... Wszystko w tym wielkim relikwiarzu psuł i niszczył ten jad — najszlachetniejsza zapędy, najgorętsze porywy i uniesienia.

A wokół płynęła stara Wisła „srebrną wstęgą” — płynęła leniwie i powoli i ziała zarażą na miasto.

Jakiś straszny smutek wypełniał po brzegi jego duszę.

Szatan okrążał to miasto.

Przyjaciół przyjacielowi podstawał nogę, zdradzał jego tajemnice, grzebał mu w duszy nieczystą ręką. Żony oddawały się rozpucie w pokojach studentów i dziennikarzy: fałsz, sprzedajność, obłuda i najstraszniejsza ze wszystkich zbrodni, głupota, rozbiły tu swe świątynie.

Pamiętał, jak przed kilku laty powrócił do ojczyzny. Z takim gorącym sercem, z taką bezbrzeżną miłością, że w każdym uliczniku widział przyjaciela, bratał się z każdym dorożkarzem...

Dziwne wszakże! u progu relikwiarza powitał go błazen!

Przystępuje do niego jakiś młody człowiek, patrzy na niego sztywnym, osłupiałym wzrokiem.

— Pan jest naszą chlubą — czyż nie tak?

— Nic o tem nie wiem.

— Przesadna skromność, właściwa tylko geniuszom.

— Nie klep pan głupstw — ot! podaj mi pan rękę i siadaj.

— Panie, nie jestem wart być cielakiem, z którego skóry zrobione buty pańskie, a cóż dopiero podać mu rękę.

— No, to siądź pan — wypijemy kieliszek wódki!

Siedzą chwilę w głębokim milczeniu.

— I cóż? stary Zygmunt niezakołysał się na pańskie przywitanie?

— He? Czekaj pan, za rok będzie się kołysał z radości, gdy mnie żegnać będzie.

I cóż pozostało po nim?

Śmieszna karykatura jego stylu, kilka wypaczonych myśli, kilka jego zwrotów, parę „schlagwortów” żywcem wyrwanych z jego książek, wykoszlawionych do śmieszności, a słowa jego, z takim trudem dobierane, stały się obłudnym paplaniem pijanego maniaka.

Zawstydził się. Był niesprawiedliwym. Bo obok niego stało kilku, których kochał i uwielbiał. Z głęboką miłością spoczęła jego myśl na tych kilku odludkach, tych mocnych, co, nieznani, z pogardą dla tłumu, z ubóstwiającym fetyszyzmem dla sztuki szli nowymi drogami.

I Szarski, i Winiarski, i Złotkiewicz, i Broczyński, i jeszcze kilku.

Nie! był niesprawiedliwy.

Z głęboką wdzięcznością myślał o tych godzinach i nocach które razem z nimi spędził — o tej serdecznej, prawie dziecięcej wesołości, jaką raz po raz się odżywiali, o tej radości, którą czuli, gdy chodziło o to, by przyjść koledze z pomocą.

Fałszywy obrachunek, fałszywy!

I przeżywał nieledwie każdy dzień, który z nimi spędził, dzień po dniu w ich pracowniach, w ich mieszkaniach, dzień po dniu, w którym gromadzili się w jego salonie, dzień po dniu w tym ongi tak wesołym paonie...

A jednak rozpieła mu duszę tęsknota, by uciec ztąd, schować się tak, by go żaden list i żadna gazeta nie doszły. Albo nie!

Tam, ach, tam! Gdzie srebrzą się nagie rżyska w nocach księżycowych, gdzie pod jesień zalega taka cisza, iż zdaje się, że świat przestał kołować w swoich błędnych kręgach, że szatan sam spoczął i przestał okręzać ziemię, przestał podszeptować ludziom zbrodnie, by żona z lekkim sercem opuszczała męża, by...

Drgnął. Znów ją ujrzał przed sobą, wiotką, gibką i taką pyszną...

A ruchy jej, te ruchy kobiety, która czuje, że jest piękną, że wszyscy muszą na nią patrzeć i ją podziwiać...

„A krew moja taka młoda i taka wiosenna, jakby młode słońce złoto swoje w mych żyłach rozpyliło...”

Słyszał jej głos przymglony, głos kobiety, która wabi, nęci, kobiety spragnionej nowej zabawki, nowych niewolników.

— Hm, pięknie to powiedziałaś. Śniegi stopniały, lody roztały. Budzisz się ze snu zimowego. Mocna-ś, co? Silna i spragniona? Na kogo sieci zarzucisz? Aleś młoda i piękna... he, he — trzeba się od ludzi odciąć; człowiek, który ma piękną żonę nie powinien mieć przyjaciół — nie powinien! — krzyknął nagle z wściekłością i trzasnął drzwiami.

Za sobą słyszał jej przeciągły, szydery śmiech.

O, tak, tak! Był wtedy śmieszny, czuł się wtedy upokorzonym.

Inaczej powinien był to zrobić — tak, jak ów hrabia.

Zaciął zęby.

Tak! jak on hrabia, co spotyka swą żonę na gorącym uczynku — patrzy przez chwilę na skamieniałą z przerażenia parę — uśmiecha się... jak się uśmiecha? He! Sam trochę zawstydzony, trochę upokorzony? o, nie! wcale nie! W tym śmiechu tkwiła tylko jedna straszliwa pogarda: ecce foemina!

Tak! a na kochanka nie zwraca najmniejszej uwagi. To już szczyt pogardy, to pogarda, spotęgowana do wysokości podniebnych, to Himalaja pogardy. Jabym podskoczył, chwycił hrabiego obu rękami za szyję i zadusiłbym na śmierć... nie zniósłbym tej obelgi... ale ten pan wytrzeszczył tylko ślepie i patrzył przerażony...

A hrabia mówi delikatnym, uśmiechniętym, jak aksamit w słońcu południa uśmiechniętym głosem: Pomyśl tylko moja duszko, jakaś ty nieostrożna! Drzwi nie zamknąć! Któż widział? taka popędliwość krwi! I pomyśl, gdyby tu był kto inny zaszedł! Co za skandal!

I uśmiechniętym, jak aksamit w południowym słońcu uśmiechniętym krokiem wyszedł z sypialni...

Tak! to piękne! W dwa tygodnie potem znaleziono hrabiego w głębokim parowie z roztraskaną czaszką. Spadł z Montblanc'u, a był zaciekłym turystą.

Hej! dusze mieszczańskie, was na to nie stać!

Hrabia kochał żonę. Ona mówiła, że go kocha. On jej wierzył. Hrabia spokojnie patrzył na stosunek swej żony do młodego porucznika.

Patrzył spokojnie. Bo albo kobieta kocha, a wtedy żaden mężczyzna dla niej nie istnieje, albo miłość jej słabnie, a taka miłość nic nie warta, albo też najszczerza miłość znaczy to, że nie kocha: all right!

Jak się wobec tego zachować?

Cóż z błaznem zrobić? Nic! Błazen, ten quelqu'un, bo wobec mnie każdy jest takim qualcheduno, nie uwodzi nigdy kobiety. Niema zresztą mężczyzny, który byłby zdolny uwieść kobietę — to nonsens, to infernalna orgia głupoty: mężczyzna nigdy nie robi pierwszego kroku — to słynne „perskie oczko” robi zawsze kobieta. A więc co zrobić z uwiedzionym biednym samcem, który z całej tej sprawy wynosi uczucie ohydneho wstydu i upokorzenia? Nic, zupełnie nic! Mówi się co najwyżej: wynoś się pan, pókiś cały, i ciesz się, że nie jestem samcem, który drugiemu brzuch rozpruwa, gdy chodzi o samiczkę! Ale nie mówi się nawet: wynoś się pan! Tylko się czeka, spokojniuteńko się czeka.

Bajeczna komedia!

On — ten porucznik naturalnie — staje się coraz słodszy, przyjaźń jego niema granic, niema takiej rzeczy, którejby nie zrobił dla hrabiego. Hrabia byłby strasznie głupi, gdyby chciał sobie popsuć całą komedię. Jest nadzwyczaj uprzejmy, nawet mniej chłodny, niżeli przedtem. Żona jego jest czulsza, niż kiedykolwiek, a i hrabia ze swej strony twier-

dzi, że nigdy nie był tak szczęśliwy... Raz pan hrabia zauważył jakieś pomięszanie u nich obojga, nie mógł sobie wybaczyć, że był tak nieostrożny i zobaczył coś przedwcześnie.

Pan hrabia wszystko widział, wszystko wiedział i dziwił się tylko, do jakiej podłości może dojść męczyzna, który kocha kobietę z — przeszkodami.

Cóż z nią zrobić? medytował pan hrabia. Zabić po co? nie warta tego! Pojedynek? Ha, ha — jej kochanek — to uwiedzione biedactwo, aż nadto ukarane swoim upodleniem...

I stało się wreszcie.

A panu hrabiemu pośliznęła się noga na gleczarach Mont-Blanc'u.

A dlaczego mu się pośliznęła?

Kochał ją za bardzo.

Tak! — Czerkaski ziewnął. — Kochał ją za bardzo.

Spojrzał przez okno. I dziwne! Rynek, i kościół Maryacki, i kościół św. Barbary, i samotna, osierocona wdowa: wieża ratusza, wszystko to znikło mu z przed oczu — pozostała tylko jakaś przepotężna pustka nieba. Wszystkie gwiazdy pogasły — niebo białe jak droga poprzez świątecznie cichą wieś podczas Zielonych Świątek — tak! — patrzył na niebo — dziwne! bo przecież widział wszystkie gwiazdy w ich biegach, ich szalonym pędzie naokół olbrzymich kręgów.

„Tak, jak się to wszystko na nowo rozpocznie, będę znowu stał przed wami z moją białą różdżką”, powiedział jakiś Pitagorejczyk. A biedny, wielki męczennik myśli o odwiecznym pierścieniu powrotu — Nietzsche, myślał tak samo.

I co?

Rozwój świata i życia tworzy pierścień — nie biegnie do jakiegoś końca, ale do swego początku...

Na rynku zajęchało kilka fur gospodarzy z okolicznych wsi. Z półkoszków i furmanek poczęły kobiety wyjmować konewki z mlekiem, oselki i faszczki masła...

Więc słońce i nasze planety były początkowo wielkim ogniskiem gazowem, którego środkiem było słońce, a peryferya rozciągała się gdzieś poza Neptun. I to ognisko zaczęło się kurczyć, krążyć, szaleć w niesłychanym pędzie; pierścienie się odrywały, pękały, popękane kawałki zbijały się w pięście — pięście, dzikie, odgrająjące się pięście stały się planetami i jedna z najstraszniejszych tych pięści, ziemia ze swym biednym padłem płaczu, z tym biednym płazem, czolgającym się przed nieznaną mocą, cierpiącym nie wiadomo dla czego, radosnym i w niebo rozkoszą wykrzykującym, nie wiadomo dla czego, ta ziemia ze swoim płodem to najstraszniejsza, najgroźniejsza skarga...

A wokół płynie Wisła i zieje zarazą malaryi. Rozszczepia im jadem mózg, miliardem zarazków zatruwa im krew...

Ha, ha, ha...

I przyjdzie czas, gdy ciała, krążące naokoło słońca, postarzeją się... gdy jakaś drobnotka wytrąci jakąś planetę z drogi... ta jedna pomiesza tory tysiąca innych; siły centryfugalna i centrypetalna staną się śmieszną teorią profesorów fizyki, i nagle ze strasznym krzykiem wyzwolenia, tysiące znanych i nieznanych planet rzucą się w piekielne objęcia Molocha-Słońca. Ze wszystkich dali, ze wszystkich wysokości ciska się to wszystko, leci, rzuca, obrywa się w to łono strasznej, potwornej matki.

Matka umiera.

He, he! nie umiera, na nowo życie rozpoczyna, rozognia się, pali — i cały system słoneczny staje się odnowa mgławiskiem — ciałem — ogniskiem — i... och! i... pierścień wiecznego powrotu rozpoczyna się na nowo.

I co?

„Tak, jak się to wszystko odnowa rozpocznie, powrócę i ja, i stanę, jak dziś, przed wami z moją białą różdżką”.

I toż jest moje przeznaczenie?

A może to malaryja, która ich wszystkich naokół niszczy?

Może i w moją duszę wszczepiła ta mściwa, ta złośliwa Wisła jad malaryi?

Nie, nie, coś w nim krzyknęło.

I czym jestem?

Byłem i będę!



Milion razy świat się przetrworzył; pozostał taki sam, jaki był, milion razy powróci taki sam, jaki był. Byłem, po milion razy byłem i po milion razy będę. I byłem, i wrócę coraz silniejszy, coraz więcej świadomy. To wszystko, na co byłem ślepy przed milionem lat, przejrzę, gdy powrócę...

A Twoje imię święte, niech będzie błogosławione!

Ktoś Ty? Czem-és Ty?

Uczuł straszny lęk. Ale tylko na chwilę.

Bo już, już padł na kolana i oparł skroń o sofę.

Chciał się modlić; nie umiał.

Więc tylko jeden bełkot, jeden krzyk, jeden straszny, cichy smutek:

— Wybaw mnie, Panie!

Turkot na ulicy stał się nieznośny. Oprzytomniał.

— Tak, tak... tak się kończą chwile uniesienia i smutku. Trzeba iść spać — he, he — spać... Och, jaki-m ja zmęczony!

Obejrzał się.

— Wstydzę się ja nigdy nie jestem śpiący, ani zmęczony.

Położył się na kanapie.

I nadeszła biała godzina. Położył swe serce w białe jej dłonie i płynął tam, gdzie szatan przestał podszeptować ludziom, by przyjaciel przyjaciela zdradzał, by żona z lekkim sercem męża opuszczała, by... by...

Boże, mój Boże...

Szedł przez plantacye, smutny i zgnębiony.

Cały dzień się męczył, próbował pracować, ale, jakby kto z jego mózgu wszystkie myśli wymiół... Czuł: w sercu nie było tej męki, tego cierpienia, które było źródłem jego tworów. Zobojętniał. Wystygł. I nic tylko jakaś bezmierna pustka, niepokój, lęk przed tem, co czeka, przed tą ciemną, głuchą przyszłością.

Przerażał go ten cichy, apatyczny smutek, nurtujący mu duszę. Już się nie szarpał, nie szamotał, już nie umiał zacinać zębów i zaciskać pięści — tylko jedna głucha, samotna pustka, jałowy, szronem pokryty ugór w dżdżysty wieczór Zaduszek.

Szedł, jak we śnie pogrążony.

Ludzie przesuwali się obok niego jak czarne sylwetki. Nie słyszał gwaru, ani śmiechu. Raz po raz ktoś go potrącił, ale on nie zważał na to.

Lęk go zdjął, bo nie słyszał odgłosu kroków.

I zdało mu się, że wszyscy ci ludzie są tak smutni i tak cisi, jak on, że lękają się mówić i głośno stąpać, by nie zakłócać spokoju, bo każdy odgłos musiałby wywołać straszne przerażenie i trwogę.

Tak musiał wyglądać świat, gdy ludzkość oczekiwała sądu ostatecznego. Niebo czerwone, jak szafran. Pory roku się zmieniły. Śnieg padał w lecie, piekielny upał w zimie, ludzie przerażeni oddychać nie śmieli, tylko ptactwo szukało w śmiertelnej trwodze, gdzieby się ukryć mogło.

I zdawało mu się, że on tych wszystkich ludzi zaraził swym smutkiem, że smutek jego „jak dżumy plama przeszedł z serca do serca” — ale nie! przecież się śmiali, chociaż śmiechu nie słyszał, przecież rozmawiali, mieli miny obojętne i wcale nie smutne...

Ocknął się i rozejrzał ciekawie, jakby przedtem ludzi nie był widział.

I uczuł dziką nienawiść i wstręt. Twarze poczęły przybierać jakieś ohydne, potworne kształty, ciała kurczyć się, naginać w kabłąk, garbiły się, to znowu rosły lub mały — usta wydłużały się w dzioby gryfów, chciwych jastrzębi, to znowu w ryje lub pyski ośle, końskie, wielbłądzie — dusze poczęły się obnażać, odsłaniać swą potworną nagość: zdrada, obluda, zazdrość, chciwość rozpanoszyły się pod czarnem sklepieniem wspaniałych drzew... Czuł się otoczony zgrają tych potworów wrogich, nienawistnych, gotowych w każdej chwili rzucić się na niego, oplwać, obrzucić śmieciami, zmieszać z błotem i kałem, — ranić kamieniami — zdradzać — oszukać — —

— O!... o!...

Chory jestem, zaświtało mu w mózgu.

I oprzytomniał.

Zkąd ta nienawiść w mojem sercu? pomyślał.

Nienawidzą mnie, zdradzają, oszukują, ale to moja wina.

Byłem dobry, ale to nie dobroć serca, tylko dobroć pogardy.

Kochałem, ale nie sercem, tylko... no? czem? Bo ja wiem? Wcale nie kochałem, tylko mówiłem, że kocham... A potem, gdy się znudziłem, gdy duszę wyssałem, gdy poznałem na wylot to, co mnie nęciło, odrzucałem jak zgniłe jabłko.

Okradano mnie, bom ich zmuszał do okradania. Czy nie mówiłem mej służbie: kradnijcie, tylko nie za dużo? — Ha, ha, ha... Dobrze powiedziałem, bardzo, bardzo dobrze...

I przetrząsał swoje sumienie z jakąś wściekłą zapalczliwością, wdzierał się z okrutną rozkoszą w najskrytsze zakątki swego serca, wywłóczył wszystkie śmiecie swego życia i coraz większą pogardę czuł dla siebie i dla wszystkich.

Kłamałem, zdradzałem, oszukiwałem, podchodziłem podstępnie ludzi cichego serca, bawiłem się czystymi gołębicami, by im potem szyjki ukręcać, byłem okrutny, rozciągałem dusze ludzkie na strasznych torturach: oto jest obraz i podobieństwo ich wszystkich.

Zdradziła mnie — ale ja ją do tego pchałem, tak! zmuszałem, bo — bo... byłem opryskliwy, i kapryśny, i złośliwy, i mówiłem jej tak: wola twa poddana będzie mężowi twemu, a on nad tobą panować będzie...

I jeszcze jej mówiłem: twój gyrus frontalis tertius w mózgu jest mniejszym od mego, — ha, ha, to nieprawda — ja kieruję się rozumem, a ty instynktem — ja mam ambicję, by tworzyć, a ty — próżność samiczki, by samców ku sobie wabić — a więc jesteś niższym zwierzęciem i musisz podlegać mej woli... codziennie mówiłem mnóstwo podobnych rzeczy.

A mówiłem jej to ustawicznie, tylko delikatniej, złośliwiej, z zadziwającym sprytem i zręcznością, godząc z wielką pewnością w czarny punkt jej duszy.

Na to przyszedł taki pan, ot! taki sobie pan i mówił jej tak:

Ty jesteś rajem, w którym błogo i rozkosznie spocząć — wprawdzie pod drzewem świadomości, ale to nie szkodzi...

Ty jesteś słońcem, które światy zapładnia... Wprawdzie musiałoby się w tym wypadku dziać to na odwrót, ale to też nie szkodzi...

Ty jesteś, gdyby dąb naokoło którego ja, biedny, słaby bluszcz się owinę — usycham bez ciebie, żyć nie mogę bez ciebie...

Jesteś najpiękniejsza i najmędrsza — jesteś źródłem i aniołem natchnienia — wszystkie wielkie anielice natchnienia nie warte prochu przed tobą zmiatać, ani Hańska, ani George Sand, ani Delfina Potocka...

Ha, ha, ha! No, i jakże się oprzeć tak słodkiej mowie?

A ty, panie Czerkaski, uderz się z całej mocy w piersi i powiedz sobie: jestem łotrem, zimnym, rozważnym łotrem.

Poczekaj, poczekaj, szeptało mu coś w duszy. Jeszcze nie mów tego, bo tyle rzeczy cię usprawiedliwia.

Żadnych usprawiedliwień! — Czerkaski zaciął zęby.

Łotrowstwo jest łotrowstwem!

Uwidleś kobietę czystą, osaczyłeś, omamileś — jednym słowem uwidleś. Wierzyła ci, ślepo byłaby przysięgała na twoje słowa, oddała ci z wiarą i bezgraniczną ufnością swoje serce, a ty zostawiłeś ją samą i bezbronną.

Boś musiał, krzyknęło coś w sercu.

Nie! bo byłem tchórzem, bom nie umiał, ja, wielki, pan przyrodzenia, zrobić tego, co ona zrobiła, bom nie umiał, nie miał odwagi zrzucić z siebie ciężaru, który mnie do ziemi przysgniała, zerwać kajdan, które mnie do galery przykuwały, bo...

Czerkaski wżerał się zębami w własne serce, szarpał je i targał z zapalczą wściekłością.

Przecież Glińską ponad wszystko ukochałeś — Czemuś to zrobił? Przecież ją kochałeś? Kochałeś, kochałeś, to jedno cię usprawiedliwia, ale czemuś to zrobił?

Próżno się silił dać sobie na to odpowiedź. Dla tego żeś miał żonę, ale czem była dla ciebie żona? Żeś — żeś...

Nie! nie chciał się uniewinniać. Z obłąkaną zaciętością szarpał swe serce, opluwał się, gardził sobą, czuł rozkosz w poniewieraniu siebie samego, bezczeszczeniu, odzieraniu się z ostatnich pozorów uczciwości.

Błąkał się po odludnych ścieżkach parku, pogrążony w ciemnej otchłani złego sumienia, z tem jednym w duszy:

Czemuś, czemuś to zrobił?

I przed oczyma jego wykwitła cicha, smukła postać kobiety, z drobną twarzyczką dziecka i oczyma, co przerażone i wylęknione patrzyły na niego.

Czuł, jak głaskała go po twarzy drobnymi, miękkimi rękoma: nigdy mnie nie opuścisz? — nigdy?

A oczy jej, jak spłoszone jaskółki, biegly za nim, śledziły go, wpijały się w głąb' jego serca, chciały rozgmatwać ciemną zagadkę swego przeznaczenia, bo to ciemne, nieznanne serce, wyrokowało o jej życiu lub śmierci... I ten lęk, i ten niepokój, i ta śmiertelna trwoga, że mógłby ją zostawić samą!

A przecież ją kochał — poraz pierwszy kochał z tą nieskończoną tkliwością, z jaką się dziecko kocha, z tem wdzięcznym, ciepłym i światłem przesyconym sercem, co czuje, że nigdy tak nie było kochane...

No i czemu?

Teraz uczył jej łzy, wielkie, gorące łzy, co duszę mu przepalały, a mózg mu przewiercało jej rozpaczne pytanie: czemu ja umrzeć nie mogę?

I uczył bezmiar miłości dla niej. Chciałby się teraz rzucić do jej nóg, całować jej stopy, bełkotać bezładne słowa miłości, i tulić, i pieścić, i wziąć na ręce, obnosić dookoła pokoju — och! kołysać jak dziecko, ażby jej skolatana główka obwisała w cichym śnie na jego piersi.

Tak! przycisnąć, przygarnąć do siebie, jak ten brązowy Adam na jego biurku!

Zapóźno!

Zaciął zęby.

Wszystko dla niego poświęciła. Czuła, że to zbrodnia, oszukiwać męża, który od rana do nocy pracował przy biurku — serce krwią się jej zalewało na widok tego człowieka, któremu ona, sierota, tyle zawdzięczała, bo ją wyrwał z dusznej i ciasnej atmosfery domu jej ojca, otaczał ją miłością, a teraz czuł, że się w niej coś dzieje, czego nie zna, że staje mu się obcą, że jest dla niego zimną i nieprzystępną. Czuła jego ból, choć słowa nie mówił, płakała, rozpaczała, czuła się potępioną, gardziła sobą, ale miłość dławiała, dusiła wszystko w jej sercu, bo kochała, bo stała się samą miłością.

I widział jej męża, jak wstaje od biurka, w milczeniu je kolację, mówi jej dobranoc, siada i znowu pracuje, by się pracą odurzyć, zagłuszyć — widział jej męża, któremu łkanie piersi rozrywa, a który jednak nie płacze, któremu przekleństwa i brudne wyrazy tłoczą się do gardła, a który ma dla niej tylko dobre i łagodne słowa, bo — bo i on ją kocha.

— A ty? ty? Co ty masz w sercu? — zakrzyknął. — Brud i egoizm!

I po raz pierwszy od dawnego czasu uczył ogromny, bezpamiętny ból.

Całe niebo staczało się wielkim, bolesnym ciężarem na jego głowę — zdawało mu się, że słyszy w cichym parku przedśmiertny poszum drzew, a z serca rwał się wielki krzyk za śmiercią, końcem, zagładą...

Przed oczyma przesunęło mu się całe życie, brudne, ciężkie życie, pełne wstrętnych zabiegów za groszem, podstępnej przebiegłości, by ludzi ujarzmić, zbrodniczych łotrostw, by żądze zaspokoić...

Siadł na ławie, głowę zwiesił na piersi. Oddychał z trudnością, a w głowie czuł ogień i żar.

Po chwili podniósł się i znowu wszedł na planty.

Naraz drgnął.

Szybkim krokiem przesunęła się jakaś postać kobieca.

To ona! Glińska! Hanka!

Obrócił się.

Nie, nie — myślę się — przecież to niemożliwe. Daleko ztąd, daleko...

Ona! Hanka!

Nie, niemożliwe... tyle o niej myślałem, że mi żywa stanęła przed oczyma.

I w tej chwili ogarnęła go wściekła tęsknota. Czuł dokładnie jej dłonie na swej twarzy, te białe, miękkie dłonie — to znowu kosztowny jedwab jej włosów przesuwiał mu się przez palce, to znowu z rozkoszą chłonał delikatną, nieskończenie wytworną harmonię jej ruchów, widział jej oczy dziecka, co z ciekawością i lękiem słuchały nieznanych dziwów,

gdy jej serce swe otwierał... I uczuł nagłą chęć wsiąść do wagonu, zaraz, w tej chwili, pojechać do niej — tylko pociąg musiałby szaleć, bo inaczej umarłby z niepokoju — wpadłby do niej, wziął ją na ręce, uwiózł, pognał z nią na koniec świata...

Ale nagle ujrzał ją straszłą, wylęknioną, wpół obłąkaną:

Czego chcesz, czego chcesz? pastwić się nademną? Ranić? Kalać? Męczyć? Idź, idź, idź...

Opadł.

Chciał jeszcze myśleć, jakby dotrzeć do niej, jak jej wytłumaczyć, że ją kocha, że popełnił lotrowstwo, ale że to się stać musiało! Tysiące przekonywających argumentów latało mu po głowie, jak pierze odartego ptaka, ale męka do dna wyczerpała mu duszę.

I tylko jedno pragnienie: ciszy! ciszy!

Zamyślił się.

Nie! nie ciszy! Gwaru, hałasu, muzyki. Czegoś, czemby mógł oszołomić to biedne, rozszalałe serce.

Nagle uczuł silne klócie w piersiach.

Chory jestem, widocznie chory; to przejdzie... to nic... zaziębilem się trochę... pójdę do Szarskiego. Prawda, prawda... przecież po to wyszedłem, by pójść do niego... ma grać swoje oratorium, czy też koncert. — Jak mogłem o tem zapomnieć...

I powłókł się do Szarskiego.

Hałas, gwar...

Niewielki pokój Szarskiego był zapelniony gośćmi.

Stasinek, który zawsze i wszędzie pełnił obowiązki szafarza, krzątał się między gośćmi, dolewał to wódki, to piwa, przypijał, zachęcał, twierdził, że tyle piękności na świecie, ile się jej w kieliszku znajdzie, kiwał siwą głową i był niezmiernie szczęśliwy.

— Cóż tak mizernie wyglądasz? — spytał Szarski Czerkaskiego.

— Nic, nic, trochę się zaziębilem, to przejdzie.

— Bardzo-m ci wdzięczny, żeś przyszedł. Ogromnie mi na tem zależało.

— I jesteś zadowolony z tego, coś stworzył?

— Po raz pierwszy w mojem życiu.

— Toś pewno bardzo szczęśliwy?

— Hm, tak — tak... szczęśliwy. Nam się wszystkim zdaje, żeśmy szczęśliwi... a śmierć czeka, czyha...

— Cóż to? Szarski sentymentalny?

— Ha, ha, ha... nie! do diabła! Tylko się lękam o swoją głowę.

— Bo stanowczo za dużo pijesz.

— Słuchaj, Czerkaski, że też ty możesz takie głupstwa gadać! Każdy artysta żyje tak długo, jak jego twór wymaga. Co za ohydny nonsens mówić: coby ten biedny pijaczyna Musset był zrobił, gdyby się na śmierć nie był zapił. Głupstwo! Nie miał już nic więcej do zrobienia. Albo powiedzieć: jaka olbrzymia rzecz byłaby z Króla Ducha, gdyby Słowacki był żył, chociaż jeden rok jeszcze! I to głupstwo. Słowackiego starczyło właśnie na te rapsody, które zostawił, a chociażby był żył sto lat jeszcze, nicby więcej nie zrobił. Artysta, rozumiesz, zawsze to robi, co ma zrobić, a czy w ten sposób czy w inny zmarnieje, to tylko odrębna forma zmarnienia. Jeden na suchoty, drugi na pijaństwo, trzeci na rozpustę — no, albo jak chcesz. Ale to zupełnie obojętne, w jaki sposób się zmarnieje. Bo, bo widzisz — my jesteśmy męczennikami naszego talentu. He, he, he... Coby ten lub ów nie był zrobił, gdyby nie dostał suchoty, kiły — gdyby się nie był rozpił, rozłajdaczył — he, he, he... gdyby wuj nie miał wąsów, albo czego innego, to z pewnością byłby ciotką — he, he...

— Tak, tak... może masz rację. — Czerkaski był dziwnie roztargniony. Tarł ręką czoło, zamyślił się.

— Znasz Glińską?

— Jakto? Ty się o to pytasz?

— Prawda! Prawda! Ale słuchaj, zrobisz mi nieskończoną przysługę, jeżeli się dowiesz, czy jest tu rzeczywiście, czy mi się tylko zdawało, że ją widziałem, bo — bo, wiesz, jakoś mi niedobrze na sercu i mam takie dziwne przywidzenia...

— Ależ, bój się Boga, Czerkaski, ty nic nie pijesz! — Stasinek trzymał kieliszek w jednej ręce, w drugiej flaszkę i nalewał.

— Piję, piję, z tobą, Stasinek, zawsze piję.

— A jabym za tobą w piekło poszedł.

— Wierzę, wierzę — ale słuchaj, Stasiu — znasz Glińską?

Jakto? to ty nie wiesz? Przecież już od tygodnia tu jest. Jej mąż został tu przeniesiony.

Czerkaski drgnął gwałtownie.

— Co, co, co? To prawda?

— Prawda, widziałem ją dziś na ulicy.

— Więc rzeczywiście?

— Ależ tak.

Czerkaski czuł, że słabnie, ale się opanował. I zdjęła go straszna tęsknota za tą kobietą, o drobnej twarzy dziecka, o małych, miękkich rączkach. Mieć ją przy sobie! Był chory, ona potrzebowałaby tylko przyłożyć ręce do jego skroni — nie! położyć miękką dłoń na jego serce, to rozszalałe, chore serce, a odrazu byłoby mu lepiej. Bo był chory — tak! chory...

— Dawno już nie widziałem pana. — Turski serdecznie ścisnął dłoń Czerkaskiego. Oczy jego błyszczały. Był widocznie podchmielony.

— To mój drugi występ publiczny od dawnego czasu. Ha, ha, teraz będziecie mnie często widywali. Nie lubię samotności.

Turski patrzył przez chwilę na Czerkaskiego, potem wybuchnął nagle.

— Ja wiem, zbyt dobrze wiem, co pan o mnie myśli. Ja wiem, że mi pan zarzuca, że — że... no tak! że rzucam rzeczy, które piszę, nieopracowane, pisane na kolanie, na targ. Pan mówi o mnie, że mam talent, ale że go marnuję...

— Ależ ja tego nigdy nie powiedziałem.

— Nie powiedział pan? Ale pan to myśli. Tak, to prawda, piszę rzeczy, których się wstydzę. A wie pan czemu? wie pan?

Czerkaski patrzył zdziwiony na Turskiego.

— Czemu? czemu? Bo mokry jeszcze papier muszę posyłać do drukarni. Bo mam żonę i dziecko...

— Ha, ha, ha, ja też miałem żonę — ha, ha, ha...

— Tak, pan miał żonę, ale pan miał i majątek. Słyszę, że pan teraz nic niema, albo tyle co nic, ale pan miał... Nie sztuka, tworzyć rzeczy skończone, gdy się ma pieniądze.

— Tak, to nie sztuka! — kiwał Stasinek siwą głową.

— Niech mi kto da tysiąc, dwa tysiące reńskich, a stworzę taką rzecz, jakiej nikt przedemną nie stworzył. Dajcie mi czas, bym mógł jedno zdanie pisać przez jeden dzień — dajcie mi czas, bym — ha, ha — miał czas pomyśleć, czym napisał głupstwo, czy dobrą rzecz, a wtedy wolno mnie sądzić...

Turski okręcał guzik od surduta Czerkaskiego.

— Wolno teraz panu mówić: Turski niszczy swój talent. Turski jest dziennikarzem, Turski ma jedno pragnienie, by wydać trzeci lub czwarty nakład, ale panie, ten Turski ma wściekły żal i ból w sercu, że nie może tego zrobić, coby mógł zrobić, bo mu nie wolno, bo — ha, ha, ha — ma żonę i dziecko.

Turski był dziwnie podrażniony. I naraz krzyknął na cały głos:

— Pieniądzy, pieniądzy! By mózdz tworzyć, by duszy nie brukać, by się nie kalać, by — ha, ha, ha...

Ale nagle oprzytomniał. Obejrzał się nieśmiało dookoła.

Nikt nie zważał na ten wykrzyk. Było gwarno i wesoło. Tylko Stasinek trącił Czerkaskiego:

— Ten się zalał.

Czerkaski spojrzał głęboko w oczy Turskiego. Chwilę patrzyli na siebie. Turski był już teraz zupełnie spokojny.

— Nie jestem pijany, panie Czerkaski, ale — ale, jeżeli są tragedye — straszne, okrutne tragedye — to ja je przeżywam. Wiem, że mógłbym zrobić coś wielkiego —

ogień mnie trawi — a muszę, muszę ciskać na targ te głupie, nędzne, jałowe rzeczy, bom biedny, bo ha, ha, ha... Zdaje się, że to pan mówił o malaryi, którą Wisła ziele, ta Wisła, która ma czas, i płynie wolno, i ziele wolno zarazki choroby, bo ma czas. Ja mam tę malaryę w krwi, w kościach, w każdej cząstce mego ciała... Gryzie, niszczy, truje... To piekielne miasto zabija mnie... He, he... łatwo panu mówić, ten jest żurnalistą, ten stara się przypodobać publiczności, ten znowu chce być na gwałt popularnym. To wszystko panu wolno mówić, bo pan mógł czekać — a jeżeli pan co napisał, to mógł pan schować do szufladki i — prematur in nonum annum... Ale my, my biedacy — he, he... patrz pan: Szarski pije, bo niema nakładcy, któryby jego rzeczy drukował, bo niema orkiestry, ani śpiewaków, bo nie wie, z czego będzie jutro żył, bo lęk i rozpacz w jego sercu, Winiarski mógłby być olbrzymem, gdyby mu dano coś do roboty. Dać mu kościoły, pałace, muzea do malowania! Dać mu nową scenę, olbrzymią, wielką arenę, gdzieby mógł słowem malować — ot! tak!

Turski zakreślił wielką linię w powietrzu.

— Cóż? Winiarski ma suchoty i głód, głód, głód!

A Turski, ten Turski, który tu przed panem stoi, musi pisać pornografię, by móżdżek żyć. A Kurzawa umarł z głodu, bo miał talent, tylko dla tego, że miał talent. Kurzawa musiał rozstrzaskać swego Mickiewicza — tak! Wy wszyscy, którzy macie pieniądze, albo nie macie żony, możecie takie rzeczy robić, — mnie nie wolno! Kurzawa zmarniał, bo Kurzawa miał talent. I teraz na rynku, na tym najpiękniejszym rynku w całym świecie, stoi pomnik, ohyda, hańba, świństwo...

— Tak, to racya! — Stasinek pokiwał smutnie głową.

— Stasiu, serce moje! — Turski objął Stasinka za szyję. — Stasiu, ty nie masz nic do stracenia, ty nie masz żony. Dam ci tysiąc guldenów, jeżeli wysadzisz ten ohydny pomnik w powietrze. Czem chcesz. Bo ja nie mogę. Więzienie...

— Tak, to niemiła rzecz, — wtrącił Stasinek lakonicznie.

— Och, mieć milion! gorączkował się Turski. — Milion — nie! to za mało — dziesięć milionów! Móżdżek zniszczyć ten pomnik i dać miastu inny — móżdżek zdrapać z wnętrza kościoła Maryackiego te głupie i śmieszne i ubogie i takie bezsensowne malowidła Matjki, tę pstrokatą jajecznicę ograniczonego geniusza...

— Nie klep głupstw! — przemawiał Stasinek dobrotliwie do Turskiego. — Mieć miliard! Ha, ha, ha! Turski, co, kochany chłopie, gdybyś ty miał miliard — nie potrzebowałbyś pisać pornograficznych wierszy... bo to jeszcze popłaca.

Turski umilkł nagle i zwiesił głowę.

Czerkaski milczał i słuchał, ale bardzo roztargniony. Cóż go teraz obchodziło, czy malarya ich poźre, czy nie.

On miał tylko jedną myśl, jedną chorą tęsknotę i pragnienie: Glińska, Glińska...

Teraz siedzi tam naprzeciwko męża, w pół błędna, z tą obłąkaną rozpaczą w sercu. A mąż raz po raz wlepią w nią straszne, smutne oczy. A ją pali ten niemy, bolesny wyrzut, to rozpaczne pytanie: kto mi twoje serce ukradł?...

— Cóż tam, ja mogę zmarnieć, mnie nie szkoda, ja nowej drogi nie wytknę, nowych światów nie odkryję, ale Winiarski, Winiarski...

Cóż wy tu o mnie gadacie? — Winiarski witał się serdecznie z Czerkaskim.

— I, nic, nic, tylko Turski twierdzi, że gdyby miał miliard, toby razem ze Stasinkiem pomnik na rynku zburzyli i kościół Maryacki odrapali.

— A dobrze, dobrze! A możeby też wtedy zmusili księdza biskupa, by chciał przyjąć w podarunku moje witraże do katedry. Pomyśl tylko, chcę wszystko zrobić darmo, namaluję kartony do wszystkich okien, kartony, w których całą przeszłość odtworzę, począwszy od Wandy, i nie chcę przyjąć. Wolą ohydną, fabryczną pstrokaczną, bo milsza dla oka...

Ucichło nagle.

Szarski siadł przy fortepianie, i odrazu stał się nowym człowiekiem. Przeistaczał się, potężniał, zdawał się nie z tego świata.

Czerkaski widział tyle razy tę dziwną zmianę w Szarskim, a za każdym razem przejmowała go jakaś tajemna trwoga.



Czuł, że w tym człowieku dokonywa się mistyczny ślub z istotą rzeczy, że on w tej chwili odczuwa świat poza wszelką zjawą i uludą, odczuwa go w jego najistotniejszej głębi, w nagim absolutie, w dźwięku.

Czuł, że ten człowiek rozmawia z Bogiem, że nie potrzebuje symbolu, ani słów, ani przenośni, ale styka się z nim bezpośrednio.

Szarski był śmiertelnie blady.

I nagle uderzył pierwsze akordy, temat swej symfonii, wieczny temat bólu i cierpienia: Święty Boże, Święty Mocny...

Coś, jakby pokorne kajanie się człowieka przed groźnym a strasliwym majestatem, — biednego człowieka, co nie śmie spojrzeć Bogu w zagniewane oblicze, tylko pokornie, z szeroko rozwartymi rękoma przypada do ziemi i w cichym szlochu błaga i prosi:

Święty Boże, Święty Mocny,  
Święty a Nieśmiertelny,  
Zmiłuj się nad nami...

Cisza!

I nagle z góry do dołu wściekle pasaż obłąkanego śmiechu, wycia, płaczu, dzika, spieniona, kaskada cierpienia, bryzgająca krwią serdeczną ku niebu! To znowu wyskakiwała groźna pięść szaleńca, co wali o wrota nieba, straszny skowyt na śmierć zranionego zwierza, a przez tę orgię tonów huczał, wył, błagał, kajał się straszny, ponury temat: Zmiłuj się nad nami.

W coraz to nowych modulacjach, w coraz groźniejszej i ponurej tonacji odzywał się ten straszny krzyk, czasem jak wściekły wybuch geyzeru, czasem przeciągły i długi jak strumień gorącego prądu, czasem jak szczęknięcie zębami potępieńca, jak łamanie, ręk z rozpacz obłąkanego człowieka, to znowu, jak bolesna, głucha rezygnacja mędrca, który wie, że niema dla ludzi ratunku.

Zimne dreszcze zbiegały Czerkaskiego.

Bo dziwna! Szarski miał nadzwyczajne siły. Fortepian przestawał być instrumentem, słuchał go, stawał się jego duszą, największe techniczne trudności stały się prawie dziecinną igraszką. Nastąpiło zlanie się człowieka z martwą rzeczą. Dusza Szarskiego udzieliła się drzewu i metalowi i kości słoniowej. Technika Szarskiego była nieskończenie delikatnym, nieskończenie wydoskonalonym środkiem, by duszę swą do naga wyśpiewać.

Czerkaski przymknął oczy.

To już nie fortepian, to orkiestra cała.

Słyszał skrzypce i fagoty, melodia przechodziła z wiolonczeli na harfy, huczała w podziemnym dudnieniu organów, zrywała się w dzikich fanfarach pistonów, w bolesnym wyciu klarnetów, a grozą i przerażeniem Sądu ryczały trąby straszliwe Dies irae lęku i cierpienia.

I nagle dziki zgrzyt w niesłychanych akordach, które spadały na duszę, jak siekący, niszczący grad na bujny łan zboża, i znowu cisza.

Na chwilę zrzucił człowiek z siebie kajdany życia, stoi na górze Tabor, wyciąga ręce ku Bogu, bo za chwilę dusza jego oczyszczona ma się wznieść ku chwale wiekuiestej.

Ale oto załopotaly lękliwe, strwożone skrzydła duszy wygnanej z raju, biedne, błędzące, skołatane skrzydła — dusza wygnana z raju miłości, rozpaczna, a w sercu jej rozpasala się piekielna symfonia bólu, straszliwe Alelujah rozpaczy, przekleństwa, tęsknoty.

To ona, ona, Hanka!

Hanka o bosych nóżkach, w podartej koszulinie, poprzez roztopy i błotne ugory, Hanka deszczem siekana, zraniona, skrwawiona, z gromnicą w ręku, Hanka bijąca się drobnymi rączkami w rozpaczną pierś:

Jam biedna cudzołożnica, wybaw mnie, Panie!

Hanka-Ewa, rozszalała, groźna, z dzikim chichotem, rozpustna i wyzywająca, na przędzie, Hanka tańcząca wściekły taniec miłości i śmierci, a on za nią, jak pies przywiązany do jej stóp, on, dumny szatan, wielki pan serc, on, dziś w grozie Sądu, najbiedniejszy z biednych:

Zmiłuj się nademną!

I piekło się przed nim rozwiera, niebo na niego się wali, a Hanka siedzi przy nim przed otwartym grobem i płacze.

Hanka płacze! Słyszał jej jęk, i serce rozdierający szloch, i głuchą, obłądną modlitwę bez słów, modlitwę kwiań zabiegłych oczu: och, wybaw, wybaw mnie, Panie.

I w dali gromadka ludzi z niknącemi pochodniami w parnej, nieszczęściem ciężarnej nocy. I jak pozagrobowy odgłos bezsiły i zdania się na wolę Boską, cichy jęk: Wybaw nas, Panie...

A Hanka siedzi i płacze, łzy jej z oczu ściekają, jest śmiertelnie blada, i niema, i głucha, tak płakać może tylko trup. A mąż siedzi naprzeciw i szamoce się z sobą, z serca rwie się dzikie przekleństwo, w gardle dusi go straszny ryk Herakła, palonego koszulą Nessusa, ale pyta cicho i łagodnie z bezbrzeżnym smutkiem: czemu płaczesz, Hanka?

Czerkaski wstrzymywał się całą siłą, by nie krzyknąć z bólu.

Temat powracał w pojedynczych akordach i taktach, ginął, gasł — nie było wybawienia, nie było litości, tylko już bezładne bełkotanie ludzi, nieświadomych tego, co mówią.

Zboża kołyszą się w cichym powiewie wiatru, drzewa szumią tajemniczo, raz po raz odgłos dzwonu, a ponad wszystkim strach. Samotny człowiek wlecze się po miedzy, a za nim coś, co gotowe do skoku; chytre, powłóczyście kroki — chwila, a śmierć obejmie wścieklemi kleszczami pierś, gardło, wgrzyzie się zębami w kark...

Strach, strach!

Ale człowiek samotny nie ma już siły, by się opierać, leci z jednej gwiazdy na drugą, w przepaść, w otchłań, piekło... głębiej jeszcze, ciemniej jeszcze...

Och!

Raz jeszcze ryknęły organy, zawyły trąby przerażenia, przekleństw i bluźnierstw — ucichło...

Ostatnia przedśmiertna ekstaza, ostatnie pragnienie śmierci, natchnione „Cupio dissolvi”:

Święty Boże, Święty Mocny,  
Święty a Nieśmiertelny...

Czerkaski drżał, zimny pot wstąpił mu na czoło.

Śmierć, zagłada, zniszczenie zawisło czarnymi upiornymi skrzydły nad nimi wszystkimi.

Zaległo długie, głuche milczenie.

Nagle zerwał się Szarski:

— Och, dajcie mi orkiestrę, dajcie mi solistów, dajcie mi chóry! Kasprowicz dał słowa, Winiarski namaluje mi dekorację, wielką, olbrzymią. Czerkaski, słuchaj! Turski da miliardy! Ha, ha, ha... Dajcie mi orkiestrę! — Huknął pięścią w klawisze. — To nie ma siły, to nie daje najmniejszego wyobrażenia! to to musi być śpiewane, wyte, krzyżane — ha, ha, ha... ja nie wiem, jak to wygląda, ja to tylko w duszy słyszę...

Turski zaśmiał się ochryple:

— Ha, ha, ha... dajcie mu orkiestrę, Winiarskiemu pałace, niebotyczne ściany, muzea, mnie dajcie pieniędzy, Kurzawę wskrzeście z grobu, wysadźcie dynamitem pomnik na rynku, bezczeszczący imię Mickiewicza, zmuscie księcia biskupa, by przyjął witraże Winiarskiego, wyrzućcie z katedry pomniki Zumbuscha, Thorwaldsena — ha, ha, ha... zdrapcie ohydę z kościoła św. Krzyża, pstrokatą jajecznicę z Kościoła Maryackiego — ha, ha, ha... Dajcie Stasinkowi baryłkę wódki, a mnie jeden jedyny miliard, a będzie sztuka polska. A jeżeli tego zrobić nie umiecie, to możecie zgnić, zdechnąć na śmieciach, oblizywać sobie palce na jubileuszach zasłużonych... ha, ha, ha — patrzeć na sławy narodowe, co roznoszą nasze imię na wielkoświatowe rynki — a wy gnijcie, gnijcie — wy, Jany Chrzciciele, torujący nowe drogi — ha, ha, ha... Jasny piorun was trzaśnie z waszemi nowemi prądami, my w grodzie Krakusa potrzebujemy pleśni, jaką słusznie stare rzeczy święcą, potrzebujemy zgnilizny Stradomia, błota Czarnej Wsi — Dobranoc! Muszę gotować strawę dla handeleków i kawiarni — cały numer Bociana zapiszę na przekór wam wszystkim. Dobranoc! Ha, ha... Chodź, nas już malarya przegryzła — nam już z tem dobrze.

Cisnął z całej siły stółek o ziemię i wyszedł.

Zdawało się Czerkaskiemu, że w sieni posłyszał głośny ryk.

Ale był już na wszystko obojętny — jedna myśl maniacka krążyła po jego mózgu: Hanka-pokutnica, Hanka-niszczycielka, Hanka z trupią twarzą, po której wielkie łzy spływają, Hanka, Hanka przy stole naprzeciw swego milczącego męża z temi straszniemi, smutniemi oczyma, Hanka...

Na chwilę powstało zamieszanie — ale już wszyscy byli przyzwyczajeni do tych wybuchów wściekłości Turskiego, i za chwilę poczęto dyskutować o nowym utworze Szarskiego.

Szarski przysiadł się do Czerkaskiego.

— Wiesz, zimnym potem się oblewam, gdy pomyślę, że ja tego nigdy na orkiestrę nie posłyszę, że ja to tylko w sercu słyszeć będę, że nic, nic nie wiem o własnym dziele. — Co? pojmujesz, że to tragedia. Czasami obłąd mnie chwyta, że umrzeć mogę, a tego nigdy nie posłyszę. A śmierć czyha, czyha...

— Trudno — mówił Winiarski ze zwieszoną głową. — Pociesz się, ja też nigdy moich kartonów nie zobaczę w świetlistościach witraży... tak, może po śmierci...

Czerkaski z trudem się opanowywał. Głowa mu ciężyla, jakby miał w niej olów, a w piersiach klócie, nieznośne, ostre klócie, jakby mu w płuca rozpalone szpilki wsadzano.

— I cóż? cóż? — pytał Szarski ciekawie.

— To wielkie, to potężne. Masz słusność, że ci pić wolno, dla mnie zostaniesz tem, czem jesteś — wielkim, oderwanym od czasu i tego wszystkiego... Ale wybac, pożegnaj cię teraz. Muszę wyjść na świeże powietrze. Jakoś mi niedobrze.

— Odprowadzić cię?

— Nie, nie...

Wymknął się po cichu.

Czekano go na dole. Turski stał oparty o ścianę w jakimś bolesnem, tępem zadumanium. Czerkaski zatrzymał się. Zdjęła go nagła litość nad tym człowiekiem, któremu matka Wisła malarzą mózg przegrzyła.

— A, to pan, pan... — Turski chwycił go pod ramię... — Pan nie wie, że pan się stał moją męką, kłodą na mej drodze, przez którą się przewróciłem jak długi... Dawniej tego nie czulem, a teraz się męczę. Byłem przed paru dniami na pańskiej premierze... Zęby zacinalem z wściekłości. Byłem zazdrosny — tak! zazdrościłem panu. To nędznie, to podle, do tego się literaci nie przyznają, ale ja się przyznaję. A potem, gdym słyszał, że pan to uważa za niegodny rodzaj studium, to znaczy za coś, co się nie udało, a co literaci puszczają w świat pod hipokrytyczną nazwą „studium”, tom pana pokochał, bo pan szczery, bo pan szuka, a ja myślałem, że pan chce już siać na niedostępnych wyżynach... Nienawidziłem pana dawniej...

— No i cóż?

— Cóż? Pan się pyta, cóż? Oto wytłomacz mi pan, czemu ja uczuwałem zazdrość, ja, który jestem silnie przekonany, że daleko lepiej i pożyteczniej spełniam me obowiązki w społeczeństwie, aniżeli wy twórcy, wy Jany Chrzyciele? Wytłomacz mi pan, dla czego wy, których społeczeństwo nie potrzebuje, wypłuwają ze siebie, jak ongi ów biblijny wieloryb, któremu Jonasz w żołądku zaciężał, tak, że strawić go nie mógł — ha, ha... prorocy, twórcy i tutti quanti zawsze byli niestrawni — dla czego wy narzucacie się społeczeństwu, czemu na gwałt chcecie się dostać w paszczę tego potwora? Próżność? Pragnienie wieczności? Ha, ha... Patrz pan, Winiarski z głodu przymiera, a odrzucił projekta mecenasa i kazał mu się udać do pokojowego malarza; Szarski, ten Szarski, czemu on tworzy rzeczy, od których obłądu dostaję — a przecież nigdy nie będzie miał orkiestry... od naszej orkiestry on by dostał obłądu...

— Dla czego inni tworzą, nie wiem...

— A pan?... he, he... ja wiem, czemu pan tworzy, pan jest wielkim panem, pan kocha luksus, i pańska sztuka to luksus, zupełnie niepotrzebny luksus, który ja wszelkimi siłami zwalczać będę... — Turski był wściekły.

— Poczekaj pan — mówił Czerkaski łagodnie. — Mówiłem, że nie wiem, co dla innych jest pobudką twórczości, ale mogę powiedzieć panu, dla czego ja piszę. Nie z literackiej próżności, bo jej nie mam i nie jestem literatem; nie dla ambicji, bo niema ludzi, którzyby ją zaspokoić mogli; nie dla pieniędzy, bo pan wie, że moje książki zaledwie w kilkudziesięciu rozchodzą się egzemplarzach, — ja tworzę, bom się urodził twórcą. Bo tworzyć muszę. To znaczy, tak chciało moje przeznaczenie, bym uświadomił, co dotychczas jeszcze nie było świadome...

— A więc pan żyje dla potomności — ha, ha, — złapałem pana — dla tego wzgardzonego społeczeństwa, dla dorastającego pokolenia...

— Myli się pan, mnie potomność nic nie obchodzi. Nie będzie ani mędrszą ani głupszą niż nasza terażniejsza generacja. Nic nie znam wstrętniejszego od tej głupiej potomności, tej trzody głupich owiec, wierzących na słowo jakiemuś panu, który pójdzie na rynek i wykrzyknie: przed pięćdziesięciu laty żył wielki geniusz, trzeba mu pomnik postawić!

— Więc dla czego? dla kogo?

— Dla tego jednego, który moją pracę podejmie, rozszerzy, nakreśli jej nowe, mnie nieznane widnokregi, i przekaże całość temu, który po nim przyjdzie — i tak przez wieki wieków, aż przyjdzie ten, który nic już sobie uświadamiać nie potrzebuje, bo wszystkiego będzie świadom.

— Tak? — Turski słuchał i śmiał się na cały głos. — Ha, ha, ha, to takie stowarzyszenie, nowa sekta magów, dalszy ciąg generacji magów — praojciec pański, to Samyasa... co?

— Tak, mój panie, — Czerkaski mówił dobrotliwie i coraz łagodniej. — Sztuka jest wielką tajemnicą, — arkanem, tabu...

— A dla nas, dla nas biedaków, cóż dla nas, którzy was żywimy, potrzymujemy taką luksusową, tajemniczą sektę — cóż dla nas i dla tej biednej Galicji?

Czerkaski zaśmiał się, ale równocześnie schwycił się za piersi, więc mówił jeszcze ciszej.

— Dla was? dla Galicji? Wszystko! Tylko nie chcecie zrozumieć, jesteście głusi i ślepi — ale i dla was mamy, my dzieci Samyasy, coś — zagadkę. Słuchaj pan uważnie:

#### *NASCIT ROCH EPIRO GAZES EREMI ZRIJ.*

— He? kpi pan?

— Nie! Ale w tem tkwi cała tajemnica magów i artystów. Tajemnica ta pozwala im jako tako istnieć i wikłać sypty, jakie dusza ukryta porobiła na postronku ciągłości bytu... Tę formułkę znalazłem jeszcze jako dziecko na strychu w papierach mego ojca, i stała mi się dewizą na całe życie...

— A to znaczy?

— Naści trochę piroga ze serem i żryj! Ha, ha... ale żegnam pana — mam klócie w piersiach, trudno mi mówić... żegnam pana...

Skręcił w boczną uliczkę.

— Panie! — Turski zastąpił poważnie drogę Czerkaskiemu. — Dla czego pan sobie kpi ze mnie?

— Dla czego? — Czerkaski zamyślił się. — Dla czego? Słuchaj pan, uczulem głęboką litość nad panem, miałem chwilę wrażenie, że pan się rzeczywiście łamie i szamoce ze sobą. Ale to iluzja — ja jeszcze miewam iluzje — wiem, że wy, dziennikarze, musicie wszystko zbrukać, splawić w kale i błocie, korzycie się przed tem, co, mimo wszystkich wysiłków z waszej strony, publiczność uzna za dobre, czołgacie się w piasku przed tem, co się tej przez was pogardzonej publiczności podoba, na kolanach, ze śliną w ustach, z notesem w ręku wleczenie się za człowiekiem, który zarabia sztuką pieniądze, walicie czołem przed tymi, którzy mają powodzenie... ha, ha... Panie! panu się zdaje, że mnie pan w pole wywiódł. Jutro, wiem, będzie artykuł, iż jestem tęgim plagiatorem, jeszcze tęższym alkoholikiem, uwodzicielem wdów, sierot i niedorosłej młodzieży... Dobranoc panu — pozdrów pan Adolfa... Stasinek sam się zjawi.

Szedł szybko, mimo dotkliwego bólu. Ogarnął go wstręt i obrzydzenie. Zaledwie mógł panować nad sobą.

Chciałby krzyknąć, pluć, ciskać przechodniom najgorsze, karczemne wyzwiska... ale nie, nie! po co! Cóż go to wszystko mogło obchodzić? Jego, syna Samyasy — ha, ha! potomka Agricoli, John Dee'a, Paracelsa...

Dziwna, że wszyscy marnieli... ha, ha — tylko Nordau, Lombroso, Spencer, i nasi wybitni i najwybitniejsi historycy i krytycy sztuki mają się dobrze.

— Wstydz się, Czerkaski! Gotów cię jeszcze kto posądzić, że masz żal, że jesteś rozgoryczony... a, widzisz, nie masz prawa do tego, bo szedłeś à rebours, bo wszystko na przekór robiłeś, kpiłeś sobie z ludzi i z siebie... Och, jakby to dobrze było wysiadywać jaja, które inni znieśli — co?

Kilku pijanych studentów stało na ulicy; poznali Czerkaskiego:

To on, to on,  
To Phaëton,  
Co ojca wóz,  
Po niebie wiózł...

— I leb sobie skręcił — co? — zaśmiał się Czerkaski... Ha, ha... udało się wam: to on, to on, to Phaëton — galicyjski Phaëton... idźcie do Turskiego!

Czerkaski gorączkował.

— Ha, ha — ten głupi Turski myśli, że mnie oszołomi swemi głupimi frazesami, swoją udaną rozpaczą, że mógłby być geniuszem, ale — no! i t. d. A może krzywdę mu robię? co?

I w tej samej chwili zapomniał o Turskim.

Był w swoim pokoju, patrzył na szatańskie msze Goyi. Jakże rozkoszował się w tej chwili dziką, szatańską zaciekłością, z jaką Goya ludzi i życie całe w błocie nurza!

Ha, ha, te wstrętne, ohydne potwory, to ludzie — te poprzekrzywiane, bezzębne, zwierzęce mordy to ich twarze, gdy się z nich maskę zedrze — ten obłąkany, śmieszny, wstrętny taniec świętego Wita to taniec życia — ten dom obłąkanych, w którym jeden szalenciec pięścią mur rozwała, drugi wyśpiewuje rapsody i eposy, trzeci przechadza się z głupią grandezzą jakiegoś śmiesznego, obdartego higałga, te głupie osły, lubieżne kozły, tępe woły, to panteony narodowe — ha, ha...

Drgnął nagle. Wzrok jego padł na list, który leżał na stole.

— Co? co? List od niej, od tej dumnej, hardej, co z taką rozkoszą i taką zajadłością rzuciła mu jego własną hańbę w twarz... ha, ha — świat się przewraca!

Zaćmiło mu się w oczach.

Dostałem malaryi, pomyślał. Malarya, jak najwidoczniej, malarya. Zaraziłem się od Turskiego...

No, więc to od niej list. Tak! to jej pismo. I marka francuska, i stempel z Paryża — więc nie śnię.

I znowu położył list na stole.

Ale głoski poczęły się przeistaczać, ginąć, zacierać, przetwarzać na dźwięki, słyszał jej głos i widział przed sobą jej hardą, wyniosłą postać, kiedy z nienawiścią ciskała mu w oczy ostatnią obelgę.

Więc cóż tam stoi? Cóż ona może pisać — to musi być rzeczywiście ciekawe.

Rozdarł kopertę.

„Tak już nisko upadłam, taka się stałam podła i nędzna, że piszę do Ciebie o — powiem ci wprost, brutalnie — o pieniądzu.

Chodzę jak obłąkana, zdaje mi się, że śnię jakiś potworny sen, męczę się w tym strasznym śnie, myślę, że się to skończyć musi, ale wiem — wiem, że ten sen potrwa przez całe moje nędzne życie. Zbyt dobrze cię znam, bym się na chwilę łudziła, że mogłabym wrócić do ciebie. To wszystko irremediable, wiem, wiem — ale wiem również, że mi przyszlesz pieniądze.

O! tyś dobry, strasznie dobry, tą zimną, okrutną dobrocią pogardy. Tak nikt gardzić nie umie jak ty, więc nikt nie jest tak dobry.

Może być, że jestem obłąkana, i śmieszne ci się to wyda, co piszę, ale to dziwna, że ja rzeczywiście tęsknię za tobą, jak nigdy przedtem nie tęskniłam, nawet w tych miesiącach rozłąki przed naszym ślubem.

Chodzę tu po ulicach, po których kiedyś z tobą chodziłam, jakaś nieprzeparta żądza ciągnie mnie do miejsc, w których tyle pięknych godzin z tobą spędziłam; wczoraj patrzyłam godzinę — nie! wieczność całą — na lwa belforckiego i myślałam o tobie. On taki dziki, wspaniały i taki pełen pogardy jak ty...

Ale dosyć już, dosyć, dosyć.

Raz jeszcze: przyślij mi zaraz kilkaset franków, bo zmarnieję”.

Czerkaski uśmiechnął się.

Więc miodowe miesiące skończyły się.

Wykrzywił usta pogardliwie, po głowie tłukł mu się uporczywie refren jakiejś gminnej piosenki: zachciało się babie młodego galasa... i znowu się uśmiechnął.

Ciekawe! Utrzymywać żonę własną dla jej kochanka. By mogła w spokoju i bez finansowych kłopotów kosztować szczęścia w nowym małżeństwie.

Śmiał się na cały głos:

Ha, ha, ale to zadziwiające, że ja, ja — ha, ha — mam być — tak — quasi-rajfurem własnej żony... ha, ha — a przynajmniej ułatwić jej...

Nagle krzyknął jakiś silny głos w jego duszy: Hanka!

Cóż Hanka? Prędejbym razem z nią zmarniał gdzieś pod płotem, zanim... no tak!

Otworzył biurko, wszystkie pieniądze, jakie miał, włożył do koperty.

„Posyłam pani wszystko, co mam. Niech pani zechce to przyjąć od — dzieci. Czerkaski”.

Jakiś ty szlachetny, pomyślał.

Ach! jaka szkoda, że sam sobie w twarz splunąć nie mogę. Czemu? Bo ta twoja dobroć taka marna, tak cię nic nie kosztuje... a każda wiarołomna żona opiewać będzie w bohaterских rapsodach twą wielkoduszność — ha, ha...

I nagle stanęła mu drobna Hanka przed oczyma, obszarpana, błędna z rozpaczy, Hanka, która od kilku dni nie jadła, opuszczona w obcym mieście, Hanka, której dwie drogi do wyboru pozostawały: śmierć, albo... Drżał, robiło mu się na przemian zimno i gorąco...

Malarya, oczywiście malarya. Zaraziłem się od Turskiego.

Przeliczył pieniądze. Trzysta franków. Mało.

Zrobił na liście dopisek:

„Niech się pani zawsze do mnie zwraca, gdy pani cośkolwiek potrzebować będzie. Zrobi mi pani prawdziwą łaskę, bo nie chcę, by matka moich dzieci głód cierpiała”.

Położył się na sofie. Był strasznie wyczerpany i chory.

I nagle ujrzał jakiegoś straszego, olbrzymiego pająka w rogu ściany pod sufitem.

I dziwna! Ten pająk był bezcielesny, jakby niewidzialny, w czwartym wymiarze — pająk w matematycznym obmyśleniu.

Przeraził się.

Bo ten pająk wysuwał ogromne nogi, powoli, z wahaniem, i znowu je w siebie wciągał.

Czuł, że te niewidome, matematyczne nogi mogą się wyciągnąć w nieskończoność, że gdy się pozwoli im dotknąć, to dotknięcie ich będzie śmiertelne, i ze straszną trwogą przyglądał się ruchom potwornego robaka, śledził, obrachowywał każde najdrobniejsze drgnięcie w tych szatańskich nogach.

Wyteżył całą siłę, nieznaną mu dotąd siłę woli, by nie rozproszyć uwagi, bo ilekroć zaczął poddawać się zmęczeniu i senności, pająk nogi wyciągał.

I coraz straszniejsze robił wysiłki, bo pająk zdawał się czytać w jego duszy, śledzić jej opadanie i potężnienie, to kurczył się, malał, to znowu rósł i nogi wyciągał, zdawał się macać opór powietrza pomiędzy sobą a swoją ofiarą.

I Czerkaski uczył nagle nieprzepartą chęć wykrzyzczyć wszystkie swe zbrodnie, wyśpowiadać się ze wszystkich swych grzechów, i znowu drżał ze strachu, bo czuł, że jak tylko usta otworzy, będzie zgubiony.

Siadł i całą mocą spojrział na swego oprawcę.



Pająk skrył się.  
Odetchnął.  
Ale teraz go ujrzał tuż ponad sobą, chytrego, chciwego krwi, pewnego już swej ofiary...

Zerwał się na równe nogi.

Ochłonął.

Malarya! Malarya!

I znowu się położył...

Ujrzał nagle jakiegoś pana, we fraku, w monoklu, z koźlą brodą, z nieskończonego złośliwym wyrazem twarzy. Wyszczerał spróchniałe zęby, mrugał oczyma jak stary, bezwstydnym rajfur, jedną ręką głaskał swoją zrzędniałą, koźlą brodę, a drugą potrzyzymał nawpół stojącą, otwartą trumnę.

A w tej trumnie — Czerkaskiemu zjeżyły się włosy z przerażenia i wstrętu — w tej trumnie kościotrup, ohydny, niewymownie wstrętny, z wiszącymi tu i owdzie ochłapami zgnilego ścierwa, kościotrup kobiety. W jednej ręce miała wachlarz, który się mechanicznie poruszał, drugą podtrzymywała jakąś szmatę, coś w kształcie zgnilej sukni, i odsłania z kokieteryą brukowej nierządniczy swe nagie pizszczele.

— Proszę wejść! — wołał pan we fraku. — Pięć centów wstęp...

— Pięć centów od wiersza — huczało mu nad głową...

Rops, to akwaforta Ropsa błysło mu w głowie...

Nie, nie! to madame Delmonse! Madame Delmonse! wołał Winiarski powieszony na szczycie wieży katedralnej w Burgos, powieszony u serca największego dzwonu...

Ależ nie! To znowu Rops...

— Gdzież tam. To rzeczywiście madame Delmonse.

Kościotrup zaczął się ożywiać, poruszać, nabierać ciała, zgnilego, strupieszatego ciała, pokrytego wrzodami, wyszedł z trumny, stanął na środku pokoju — i jakaś ohydna, hydrocyczna nierządnicza zaczęła tańczyć potwornego kankana...

A wokół niej ciżba ludzi — nie! nie ludzi, bo widział tylko oczy, oczy szakali, tygrysów, zachłanne, drapieżne, chciwe oczy.

— To taniec cnoty i wstydu...

Nierządnicza rzucała się coraz bezwstydniej.

— To taniec harmonii i wesela...

Bezwstyd i ohyda tańca przekraczały granicę najwyuzdańszej rozpusty...

Rozległy się oklaski, wycia, wrzaski...

Potem wszystko się rozlało w jakąś rozpaloną, ognistą ciecz — całe morze płomieni zaczęło szaleć wokół niego, jakieś płomienne kule, nie, serca, jęły skakać nad jego głową, potem wszystko pogasło — straszna, pusta, przeraźliwa noc...

Krzyknął i zemdlął.

## II. ZMIERZCH

He, Janku, już ci było niedaleko do śmierci. Tyś myślał, że masz malaryę; o nie, nie — to nasza, tylko nasza choroba... Ty na co innego zemrzesz — tak np. na zapalenie płuc, na które o mało co nie umarłeś, albo na suchoty, bo na to zwykle nasi wielcy mężowie umierają, albo wskutek alkoholycznego porażenia, jak Edgar Poe... — i ja — ha, ha — ja, biedny ja...

Szarski śmiał się i co chwila dolewał sobie z butelki. Był widocznie rozdrażniony, a rozdrażnienie jego potęgowało się z każdym kieliszkiem.

Czerkaski chodził po pokoju, blady, wynędzniały i schudzony.

— Tak, tak — niedaleko było mi do tego, by — by... — przecierał sobie czoło ręką.

— A pewno, pewno; byłem bardzo chory. I teraz chodzę tak i myślę, by mózg rozróżnić, co w tym całym czasie było rzeczywistością, co snem, co chorem majaczeniem...

Spojrzał nagle na Szarskiego.

— Zmiłuj się, nie pij tak ustawicznie — to mnie tak drażni...

Szarski patrzył pochmurno przed siebie.

— Trudno, Janku — ja muszę pić — mnie nie wolno na trzeźwo myśleć — jabym oszalał... Och, czego ja wódce nie zawdzięczam?... — Zbliżył się do Czerkaskiego i mówił

prawie że szeptem. — Wiesz, siedziałem raz w więzieniu; posadzono mnie o to, że kobietę zatrąłem. — Nie zatrąłem jej, bom za wielki tchórz — ale, Bóg wie, może się dla mnie otrąła... Siedziałem tam parę tygodni. — Hu, to straszne, straszne!... celka na jeden metr kwadratowy — zakratowane okienko u góry — we drzwiach dziura, przez którą nam jeść podawano: co tydzień jedna porcja mięsa — ha, ha, ha — mięsa! Rozgotowane gnaty, kości, skóra końska, bo ja wiem...

Szarski był silnie podniecony.

— Było nas dwóch — chodziliśmy naokoło celki jak dzikie zwierzęta w klatce, a, pomnę, była niedziela. Naprzeciwko park, w którym muzyka grała... he, he — przed paru tygodniami jeszcze chodziłem z nią po tym parku i muzyka grała i byliśmy weseli... Piliśmy dużo — bo i ona piła — ha, ha — zalewaliśmy robaka — no i byliśmy szczęśliwi. — Była prawie rozpacznie wesoła, bo niema takiej szalonej wesołości, jak ta rozpaczna wesołość.

Szarski zamyślił się głęboko, mówił przerywanie i bez związku.

— No i cóż?

— Cóż? Nic! Wróciliśmy później do domu. Szliśmy ulicą, powoli, jacyś osowiali i smutni. Nagle przystanęliśmy. Ulicą jechał dorożkarz, co konie wybiedz mogły, — w dorożce siedziała jakaś pijana para... On ściągnął surdut ze siebie — pamiętam białe rękawy koszuli — ona zarzuciła ramiona na jego szyję i w pijanej ekstazie śpiewali narodową, amerykańską pieśń — już wiesz — tę z tym idiotycznym tekstem i tą niezmiernie piękną melodią...

— I?

— I? Hm! — Szarski znowu wypił kieliszek wódki. — Spojrzeliśmy na siebie. Słowa nie przemówiliśmy, ale w sercu jej rozżagwił się ten sam ból, co w mojem. Staliśmy, jak przykuci na miejscu, patrzyliśmy na dorożkę z tą szczęśliwą parą, a w obu sercach naszych ta sama dzika, wściekła zazdrość, ten sam gniew, ta sama rozpacz: dla czegoż my — my, tacy nieszczęśliwi?...

Słowa nie przemówiliśmy. Wstyd nas było naszej udanej, rozpacznej wesołości — no, i w parę dni potem...

Czerkaski siedział zamyślony.

— Uczuliście nagle tę całą nędzę sercową? — powiedział nagle — ten żal za zmarowanym życiem — za tem wszystkim — he, he... mój Boże, jak ja to znam — ale, prawda — a cóż ten twój towarzysz?

— Chodził, chodził, chodził, naraz przystanął, spojrzął na mnie tępem, smutnym wejrzeniem i spytał mnie: Powiedz mi pan, co to jest śmierć? Igrałem z życiem czterdzieści razy, bo tyle razy narażałem się na to, że można mnie było zabić, z dachu strącić, podciąć mi rynnę, po której się na dół spuszczałem, zastrzelić mnie, gdym się rzucał na ludzi, co mieli rewolwery w ręku, a ja nic, prócz silnej pięści — i nigdy mi nie zaświtało w głowie, co to jest śmierć — teraz dopiero... Pan wie, jestem złodziejem z zawodu — ha, ha... takim smutnym złodziejem. Inni się obłowili na mój koszt — a ja — ja? nic, panie, nic, ale muszę teraz za wszystkich pokutować. Siedm lat ciężkiego więzienia co najmniej, a to gorsze od śmierci. Więc poraz pierwszy myślę nad śmiercią. Powiedz mi pan, co to jest? — Aleś ty, widzę, zmęczony. Może ci nic nie opowiadać — co?

Czerkaski położył się na kanapie.

— Nie, nie — śmierć tak mi gorąco w oczy zaglądała, że mnie już wcale nie przeraża. Sądzę, że tylko jedna chwila jest straszna, — ta, w której dusza z ciała się wyzwala, spętana jeszcze, związana z ciałem. I zwolna się odrywa, i widzi wszystko, i czuje wszystko, i krąży naokoło tego martwego cielska... Przyjdzie wielki Bóg i powie: Łazarzu, wstań! — i Łazarz powstanie, bo Bóg ów ma siłę, by odnowa duszę z ciałem połączyć, ale teraz — teraz, jak się dusza wyzwoli, to — no — to już koniec...

Zaległo głuche milczenie.

Czerkaski po chwili:

— No i cóż się stało z twoim towarzyszem?

— Oswoił się ze śmiercią. Skazano go rzeczywiście na osiem lat więzienia. Wysłuchał poważnie i spokojnie wyroku. Stał przy otwartym oknie na drugim piętrze, bo było strasznie parno — i w jednej chwili, zanim go powstrzymać zdołano, rzucił się z okna na podwórze...

— No i?

— Wszystkie kręgi połamał.

— A ty?

— Ja? — ja? Tęgo samego dnia wypuszczono mnie na wolność dla braku dowodów.

Tak, wypuszczono — he, he — ale śledztwo trwało dalej. I znalazłem się oto pod groźbą piekielną, że mogą mnie lada chwila wsadzić z powrotem do więzienia i zamknąć w tej przeklętej celi naprzeciw parku, w którym z nią ostatni raz byłem; że, smagany strachem i niepokojem, stać będę przed temi chytremi, złemi oczyma sędziów przysięgłych, czytając w ich twarży, w każdym uśmiechu, w najdrobniejszym ściągnięciu mięśni swój wyrok śmierci... Śmierci, ot, tej śmierci, jaką poniósł mój towarzysz, złodziej z zawodu.

Czerkaski oparł się na rękę zaciekawiony.

— No i cóż?

— Nic! Począłem pić! Inaczej byłbym oszalał.

Czerkaski położył się nieruchomo na sofie i przymknął oczy.

— Wtedy wódka pomogła?

— Pomogła. Piłem bezustannie. I nigdy takich rozkoszy nie przeżywałem, jak wtedy. Wiesz, kiedy zmrok zapadał, a ja z nieskończonym spokojem i z wielkim majestatem króla oczekiwałem żandarmów, którzy mnie za chwilę wywlec mogli i znowu zamknąć w tej obrzydliwej, cuchnącej celce, wtedy tworzyłem swoje największe, najpotężniejsze rzeczy. Gardziłem wszystkim, by to napisać — po co? dla kogo? Ale byłem niezmiernie szczęśliwy, że serce moje takim ogniem buchało... Pamiętasz moje „Święty Boże?” Widzisz, to wtedy powstało. Tylko straszniejsze jeszcze...

Zamyślił się.

— Bo jest taki ból, taki przerażający strach, którego nic, nic, nic, oddać nie zdoła, ani słowo, ani muzyka, ani barwa...

Rozumiesz? Ciągną cię pod szubienicę.

Z jednej i z drugiej strony żołnierz. Wyprowadzają cię z celi. Nie rozumiesz, dokąd cię wiodą, chociaż wiesz, że pasmo twego żywota za chwilę — he, he, pasmo twego żywota za chwilę przecięte zostanie. Wczesny ranek. Tak, ot — szósta godzina rano. Ziemia twarda, mrozem ścięta i szron. Ciemno. Naturalnie w korytarzach. I nic nie wiesz, że szron na dworze, ale wszystko przeczuwasz, wszystko wiesz. Nagle wychodzisz na podwórzec więzienny. Nic nie widzisz, tylko oczy — oczy — oczy. Oczy zdziwione — ciekawe — oczy przerażone, oczy lękiem i strachem przepelnione. I znowu mgła. Sekunda trwa wieczność. Ale to cię nie dziwi. Jesteś już przyzwyczajony: w twojej celce minuta zdawała się dniem całym. I nic — i znowu coś — raz coś widzisz — to znowu mgła. Dwa rzędy ludzi — nie ludzie — tylko strasznych, drapieżnych, lękiem chorych, ciekawością chorych oczu.

Przystajesz. Masz wrażenie, że cię wloką. I nagle — jasna, straszna przytomność: to kat, kat, kat... Nogi dygocą, mózg obłędem spowity. Stawiają cię, podnoszą, czy kładą, tego już nie wiesz — coś na oczach, jakby przepaska, coś, co ci oczy wyłupia — oczy przegrzają tę ścierkę, czy kłodę, raz jeszcze chcą spojrzeć na świat — i nagle szum, łoskot, przerażający krzyk, trzask, z jakim światy się obrywają...

— Dość, dość! — Czerkaski stanął na równych nogach.

Szarski był zimny i spokojny.

— To wszystko przeżyłem — to wszystko stworzyłem wtedy, gdy ani fortepianu, ani papieru do nut nie miałem pod ręką... Ale po co? dla kogo? Szczęśliwy jestem, że to kiedyś stworzył. W myśli, w sercu, gdzie chcesz...

Długa chwila milczenia.

— Przeżywałem wtedy rozkosze, które ciało moje dreszczem bólu i cierpienia zbiegały — cały świat przeobrażał mi się w ton, dźwięk — odsłaniała mi się naga istota bytu w dźwięku... Bo ta muzyka, którą tworzymy, to tylko ułuda, to tak, jakbyś plewy z mózgu zgarniał, to logiczna, prawom i regułom podlegająca muzyka, to złudna Marja, poza którą kryje się cały ocean nieznanych dźwięków, że tak powiem, z innego wymiaru. To było straszne przerażające. A jam widział te dźwięki, przeobrażały mi się w straszne wizje, w potworne jakieś widziadła, w niesłychane fantasmagorie, jakie tylko w śnie wywołanym opium otrzymać możesz — wtedy, och, wtedy czułem się twórcą. Pamiętam jeden

straszliwy krzyk — ziemia, niebo krzyczały — ten krzyk światy z ich biegów wytrącał — ale tego opowiedzieć nie można... Ha, ha... to było „Święty Boże”... To, com teraz napisał, to karykatura tego, com przeżył, najodleglejsze, sfalszowane echo tego, com słyszał...

Szarski począł mówić bezładnie, z jakimś wielkim bólem.

— I pomyśl, spełniono na mnie tę zbrodnię, że musiałem być przy obdukcji jej zwłok. Spojrzałem na jej twarz — tę twarz, która była taka piękna ze swoją melancholijną zmysłowością, z tym cichym uśmiechem przemienienia, gdy byłem dla niej dobry... i ta twarz straszna, ponura — z jakimś okropnym grymasem na odętych ustach — te oczy rozwarłe, piekielne, szklane, patrzyły na mnie osłupiałe, — och, tak niewypowiedziane okropne — twarz opuchła, olbrzymich kształtów, zielona rozkładem i zgnilizną... Omdlałem. Ocucono mnie — ha, ha — zaczęto urządzać charikiri — brzuch jej rozpruwano — i znowu omdlałem. Wyniesiono mnie, bom wpadł w szal.

Szarski pochylił się ku Czerkaskiemu i mówił prawie szeptem:

— Widzisz, ta twarz stoi mi ustawicznie przed oczyma. Takie było moje przeznaczenie, że ma drapieżna, krwiożercza dusza twórcza potrzebowała tej twarzy, by mózdz do tworzyć, co tworzy. Moja muzyka z ostatnich lat, to ta straszna, osłupiała twarz z przerażeniami oczyma i piekielnym grymasem bólu wokół ust.

Hanka, pomyślał Czerkaski — Hanka, Hanka. Zabił Hankę, by się stała jego tworem.

— Jakie to dziwne i straszne — zaczął zmęczony. — Jakaś nieznana siła pcha nas w kierunku najdziwszych cierpień i bólu, wyszukuje najdziwniejsze i najbardziej poplątane konflikty, bo to wszystko ma być pochopem do tworzenia. I to straszne, że myśmy jedyni, którym nie wolno żyć tak, jakbyśmy chcieli, jeno tak, jak nam ta nieznana, piekielna siła żyć każe. I ta cała nasza droga życia: jedno szaleństwo po drugim, jedną ofiarę po drugiej — szczęście, zadowolenie, spokój naszych najdroższych — rzucamy w paszczę tego straszliwego Molocha — na co? po co?

— Na co? po co? — powtórzył Szarski zamyślony. — Ci, którzy znajdują rozkosz w poklasku i podziwie tłumów, ci wiedzą dla czego — ale ty, który stoisz zupełnie poza społeczeństwem, który wiesz, że jesteś w nim wyodrębnioną, niepotrzebną, a nawet szkodliwą jednostką — powiedz mi, dla czego ty tworzysz? Albo ja? Mam większą pogardę dla ludzi, aniżeli Swift w swoich podróżach Guliwera, a tworzyć muszę...

Czerkaski zaśmiał się krótko.

— Bo musimy. Człowiek rodzi się też, choćby nie chciał... Ale dajmy pokój. Tylem już myślał nad tą zagadką, tak jasno widzę, że jej nie rozplączę — dosyć już tego, dosyć...

Ta szatańska natura chce się przez nas uświadomić — he, he... Nawet Bóg potrzebował widomego syna człowieczego, by się objawić... A natura-ziemia potrzebuje nas, nieszczęsnych swych synów, by się dla innych uświadomić — he, he...

I jak-és to raz powiedział? Że w każdym z nas uświadamia się jakaś nieznana cząstka natury, a dla tego ostatniego z synów ziemi, dla absolutnego geniusza nie będzie żadnych tajemnic, bo się cała natura w nim uświadomi... Pięknie-ś powiedział, pięknie...

Zamyślił się.

— I to dziwne, że ból, ból jedyny posiada, jak Kasprowicz mówi, ten potężny twórczy głos. Rozkosz, szczęście, zadowolenie — to surogat, to nędzny haracz, który składamy tej biednej naturze ludzkiej — nędzny, mizerny haracz... Ból, ból, im gorszy, im więcej szarpie, tem płodniejszy...

Czerkaski wstał nagle i chodził szybkim, nerwowym krokiem po pokoju.

— Wiesz, ja jestem specjalistą w cierpieniu — he, he, znam się na najstraszniejszych torturach bólu, na jego najwyrafinowańszych odcieniach, ale nigdy nie widziałem tak straszego, nieludzkiego bólu, jak przed rokiem w San Francisco... Wtedy pojąłem, co to śmierć, co strach Sądu Ostatecznego, co to jest piekielny taniec Miłości i Śmierci. Byłem wtedy strasznie zgnębiony — wyszedłem na ulicę i bląkałem się parę godzin po mieście. Nagle dostałem się w ciemną i widocznie bardzo niebezpieczną okolicę, bo ustawicznie mnie zaczepiano. Na nic nie zważałem — nic mnie wtedy nie obchodziło — byłbym szczęśliwy, gdyby mi był ktoś sztylet wsadził między łopatki. Naraz drgnąłem: Hanka! krzyknąłem mimowoli. Nie wiem nawet, czy głośno to powiedziałem, ale przystanęliśmy i patrzyli na siebie. Twarz jej była zakryta — tylko oczy widziałem, jej —

Hanki oczy. Byłem tak oszołomiony, że ani na chwilę nie pomyślałem, iż to niemożliwe, by Hanka mogła być w San Francisco. Jak długo tak staliśmy, nie wiem. Zauważyłem tylko jakiś ruch ręki — szła szybko naprzód — ja za nią. Sen? Wizja? Nie wiem. To tylko wiem, że nie byłem wcale zdziwiony. Tak! to Hanka. Każdy jej ruch poznawałem jak najdokładniej. Hanka ma piękne, nerwowe ruchy, które tyle razy śledziłem, które taką mi zawsze cudowną muzyką na nerwach grały... Teraz przeszła przez ulicę, podniosła suknię, by jej w błocie nie obszargać — tak! to Hanka. Przystanęła w bramie jakiejś kamienicy i czekała. Podeszedłem ku niej. Wzięła mnie za rękę; ta sama, niesłuchanie szlachetna, drobna ręka Hanki — tylko Hanka ma taką rękę... Pamiętam dotknięcie tej ręki — nie miała rękawiczek. Weszliśmy na drugie, czy trzecie piętro — nie wiem. I nagle padłem u jej nóg i krzyknąłem: Hanka! Ale znowu nie wiem, czym to krzyknął głosem, czy sercem. Czuję tylko, jaki niesłuchanie bolesny uśmiech wykwitł w pokoju. I nawet nie pomyślałem o tem, by jej twarz zobaczyć — po co? na co? Znałem każdy rys, każde drgnienie twarzy, widziałem tę twarz w ciemności pokoju — oczu nie potrzebuję zamykać, widzę z najwyższą dokładnością jej twarz... Nic ze sobą nie mówiliśmy. Zdawało się, że odgaduje każdą moją myśl, że serce jej bije moim sercem... I z całą straszną, tak długo dławioną namiętnością do Hanki, którą wreszcie odnalazłem, przycisnąłem ją do siebie. A potem dziki szal, upojenie — bo ja wiem, co się wtedy ze mną działo?... „Teraz idź, idź — muszę zostać sama” — mówiła po hiszpańsku. I nagle zaczęła się śmiać przeraźliwie, kurczowo: Hanka! Hanka! Krzyczała na cały głos z mściwą, wściekłą zazdrością... Widocznie musiałem to słowo powtarzać, a ona czuła, że w niej inną kochałem. „Patrz, twoja Hanka!” Elektryczne światło rozświetliło od białości trzeźwego dnia cały pokój.

Cofnąłem się oniemiały, przerażony, skamieniały z trwogi.

Cała twarz była jedną raną. Lupus erythematosus rozsiadł się na twarzy nakształt motyla. Nos przeżarty tworzył korpus, a z jednej i drugiej strony twarzy rozciągały się potworne skrzydła ze strupieszalej, ropiącej się skóry.

Otchłanne, zbolale, zgnilizną śmierci ziejące oczy wlepiły się we mnie, a cała twarz, ta potworna, łuszcząca, ropiąca się twarz drgała kurczowem wyciem:

— Hanka! Hanka! Ha, ha, ha — raz byłem kochana. Teraz mogę zmarnieć, splugawieć na śmietniku podwórza!

Uciekłem, oszalały z lęku, z trwogi, z jakiegoś nieludzkiego przestרחu. Nazajutrz poszukiwano zbrodniarza, który zamordował prostytutkę — tu następował dokładny opis, jak wyglądała — policja utrzymywała, że samobójstwo wykluczone.

— To straszne! — szepnął Szarski.

— Straszne! Straszne! — Czerkaski znowu położył się na kanapie, zmęczony i wyczerpany.

— Czyś ty ją rzeczywiście tak kochał? — spytał Szarski po chwili.

— Kogo?

— Hankę!

— Czy ją kochałem? To mało, ja — ja... — żyć bez niej nie mogę —

— A czemuś ją tak nagle porzucił?

— Nie wiem. Rzeczywiście nie wiem. Nie wiem nie wiem...

Długie milczenie.

— Byłem przed paru dniami u Glińskich.

Czerkaski zerwał się.

— I co? i co?

— Co? Strasznie zmierzniała. Z początku traktowała mnie prawie nieprzyjaźnie. Może sądziła, że chcę ją wy badać, czy nie zamysła popełnić jakiegoś szaleństwa — ale widocznie czuła całą moją szczerłość i współzucie, bo nagle zapytała: cóż on?

— Kto on?

Spojrziała na mnie strasznie smutno.

— Bardzo chory — powiedziałem. — Miał ciężkie zapalenie płuc.

Pobladała, ręce jej drżały, na ustach miała skrzywiony, jakby zakamieniały uśmiech.

— A teraz? — spytała po chwili.

— Przychodzi do siebie — powiedziałem — ale bardzo osłabiony.

Dziwne, jak ta słaba, wątła kobieta umie się opanować; była chwila, że mi się zdawało, iż omdlałą podchwycę w ramiona.

— I cóż dalej, cóż dalej? — Czerkaski drżał jak w febrze.  
— Nic więcej. Jej mąż nadszedł.  
Twarz Czerkaskiego mieniła się ustawicznie.  
— Co ci jest? — Szarski przyskoczył ku niemu.  
— Nic, nic. Jestem tylko bardzo osłabiony. Mój drogi, pozwól, że zostanę sam. —  
Zamknął oczy i zdawał się usypiać.  
Szarski wyszedł po cichu.

Szła, cicha, smutna, przez ciemne komnaty jego duszy.  
Szła, jak cichy uśmiech cierpienia prześlizguje się przez kielich więdnącego kwiatu.  
Szata jej lśniła gasnącym oddechem nieba, spowitego w mrok, a wokół jej głowy najdalsze przebliski świtów, co gdzieś na krańcach najskrytzem przecuciem odczuć się dają.

I jego dusza była dobra i cicha, jakby się w niej rozlała wielkim błogosławieństwem wszelka łaska nieba, jakby smutnem kwieciami wykwitła w niej muzyka, jaką siostrzane głoby kołyszą biedną, zmęczoną ziemię do snu.

Tam gdzieś w dali przebrzmiewał znużonem echem krwawy gniew życia — tam gdzieś w dole szalały gwiazdy w zacieklej pogoni, ale w sercu jego była cisza i spokój.

Pochyliła się ku niemu.

— Czujesz mnie? — Było to, jak gdyby jedwabne skrzydło chorego ptaka musnęło o serce jego.

— Czujesz mnie? — I jedwabne skrzydło chorego ptaka otulało, pieściło, całowało to biedne serce człowiecze niewymowną pieszczotą.

— Hanka!

— Chodź za mną!

Szedł obok niej, jak gdyby spoczywał na mknącym obłoku, a pod jego stopami uciekała ziemia jak fala pod szybkim, lekkim czółnem.

Miękka i jedwabna spoczywała dłoń jej w jego rękę; raz po raz wświecało się jej dobre, łagodne spojrzenie w jego krew.

— Dokąd mnie prowadzisz?

I w duszy jego jał kielkować strach i lęk. Uczuł nagłe zmęczenie.

— Tu spoczne.

I w tej samej chwili rozplynęła mu się w oczach: daleki przeblisk, jak zbłąkany promień światła i znowu ciemno.

A wokół niego szalała ziemia w twórczych porodach — mokra gleba ziała niebieską mgłą, a w sercu jego tęsknota i ból.

Och, kiedy nadejdzie koniec tych szarów, tych cierpień?

Usłyszał nagle muzykę.

O, to pewno Szarski grał.

Jakiś splełany chaos krzyków, bólu, cierpienia; coraz silniej wrzał, i kipiał, i pianą szła tryskał w górę, aż nagle przedarł się przez ten otchłanny zamęt jeden ton i wściekłym klinem wbił się w ten orkan dźwięków, rozsadził go, rozsadził. Jakby wyłoniło się nagle jakieś straszne widmo. Jakby człowiek wywołał nagle jakąś piekielną moc, która z groźnym majestatem pyta przerażonego syna człowieczego; czemu przerywasz spokój mój?

I w nocy tej szła i bólu szła ku niemu żona jego, strojna i pyszna, i jak barbarzyńska królowna słała się pod kosztownym ciężarem złotych łańcuchów i naramienników.

A on biedny syn człowieczy, syn smutnej ziemi, co czarnym ugorem duszę jego straszyla, co w nią ściekała brudnym, jęczącym deszczem, co mu serce śmiertelnym gżem moczarów i błota w bolesne sny spowijała, patrzył na nią wściekły, oszalały.

I zerwał się straszny, i mówił do niej:

— Bo jeżeli żona przestąpi próg obcego męża, ukamienujcie ją! Tak karał Jehowy srogi gniew.

Zdawało mu się, że jakaś cicha, drobna postać przypadła do jego nóg i błagała go, by nie przeklinał, ale on dziki i straszny wlepił oczy w wyzywającą, bezczelnym śmiechem wykrzywioną twarz wiarołomnej żony i mówił dalej:

— Czemuż nie podniosłem pięści, ciężkiej i strasznej jak żelazny młot, i nie opuściłem jej na twoją głowę z siłą, z jaką się kamienne złomy rozwała — czemu nie opuściłem jej na głowę cudzołożnicy?

I znowu posłyszał jakiś straszny, bolesny jęk kobiety, co u nóg jego się tarzała.

— Czemuś nie znalazłem słów tak strasznych i piekących, aby ci zbrodnię twoją krwawem znamieniem na czole wypiekiły — na czole cudzołożnicy?

Wiarołomna żona śmiała się z dzikim bezwstydem, a nogi jego obejmowała coraz silniej, coraz rozpaczniej drobna, wątła postać:

— Nie przeklinaj mnie z nią razem!

— Czemuś srom mój — wołał — nie przepelnił duszy twej takim strachem i grozą, abyś spełniwszy zbrodnię, nie śmiała ruszyć się z miejsca, w lęku, że ziemia u stóp twych się otworzy, że piekło cię pochłonie?

Hanka! Hanka! zaskowyczał piekielny chichot w powietrzu.

Ochłonął, potarł czoło.

Ta strojna, ta pyszna, z barbarzyńskim przepychem złotych łańcuchów i naramienników, śmiała się szydyczko.

— Do kogo to mówisz? Do mnie? Jam ci wiarę złała, ale wtedy, gdyś ty mi ją zламаł. Patrz, patrz, jak prosi i błaga, byś jej nie przeklinał. Przecież ją kochasz. Twoje słowa grzmiały w jej sercu piekielnym echem. Mnie nie masz nic do wyrzucenia. Jesteśmy siebie warci.

Odeszła.

Patrzył błędnie na Hankę. A potem przykląkł przy niej. Wziął jej nogi w swoje ręce i całował je: Hanka, moja Hanka!

Hanka płakała.

Tulił i kołysał ją w ramionach.

— Cicho, Hanka, cicho. Ty jedyna, moja, ty nie wiesz, czym dla mnie byłaś i jesteś. Byłaś światłem ciemnego okrętu, co okrążyła nieznane wybrzeża. Noc — straszna, burzliwa noc. Rozpacz i bezdenny strach opanowywały mnie, bo-m nie wiedział, gdzie kotwicę zarzucić. Ale tyś była moim światłem i wybawieniem. To, co było ciemne, stało się jasnym; widnieją wybrzeża, noc mi rozszarpałaś na purpurą świtów rozżagwione strzępy — Ty, pani cudu i cierpień, pani dobroci i wiecznych przebaczeń!

Ale Hanka nie chciała go słuchać. Wyrwała się z jego uścisku, odepchnęła go od siebie i płakała.

I znowu pochwycił ją w ramiona.

Szarpali się chwilę ze sobą.

Nagle zerwał się Czerkaski na równe nogi.

— Co, co? — przecierał oczy. — Ach! to pan, pan Turski — nieprawdaż? Przepraszam pana — miałem taki przykry sen.

— Ja pana przepraszam, że tak bez ceremonii wtargnął do mieszkania pańskiego... Pukałem kilka razy, wiedziałem, że pan jeszcze nie wychodzi — chwyciłem za klamkę — drzwi były otwarte.

Turski obejrzał się zmieszany dookoła pokoju.

— Wybacz mi pan, ale musiałem się widzieć z panem w bardzo ważnej sprawie. A pan może jeszcze słaby? Wprawdzie dał mi pan poznać w sposób wcale niedwuznaczny, że mnie pan znać nie chce, ale musiałem przyjść do pana.

— A co się stało?

— Pan mi poruszył i roztrząsnął sumienie w dziwny sposób. To takie strasznie upokarzające dla mnie, że i ja należę do tych ludzi, którym pan mówi: naści trochę piroga ze serem i żryj — strasznie upokarzające, bo i ja miałem kiedyś talent — ha, ha, ha... żona i dzieci pożarły mój talent na półmisku razem z pańskim serem...

— Mój panie Turski — przerwał opryskliwie Czerkaski — jeżeli ktoś ma talent, to tego talentu nic nie zniszczy.

Turski był prawie pokorny.

— A ja pozwałam sobie być innego zdania. Daj mi pan milion — nie! pół miliona — ha, ha — tysiąc reńskich, daj mi pan jeden jedyny tysiąc reńskich, a przysięgam panu, że będę miał talent. Albo nie! Daj pan mnie i mojej rodzinie utrzymanie na jakie dwa miesiące — ha, ha: nie można. Kto inny zająłby przez ten czas moje miejsce w redakcji,

a ja potem mógłbym z głodu zdychać z moim talentem. Nie wolno mi mieć talentu, bo żelazne prawo zarobku w redakcyi „Głosu Tłumu” nie pozwala mi mieć nawet honoru... Ha, ha — teraz wreszcie dotarłem do jądra rzeczy. Otóż przyszedłem do pana, by mu powiedzieć, że położenie me nie pozwala mi mieć honoru. Dziś się ukazał pięcioształtowy artykuł przeciwko panu, wstrętny, ohydny. Powinienem był natychmiast wystąpić z redakcyi, ale nie mogę. Tak, powinienem był to zrobić, bom nie czytał jeszcze tak niegodnego i wstrętnego pamfletu.

— A może go pan sam napisał? — Czerkaski śmiał się szyderczo.

Turski zerwał się. Czerkaski uspokajał go.

— Wybacz pan, wybacz... Nie chciałem pana obrazić, ale to zapytanie gwałtem cisnęło mi się na język. Wiem przecież, jak mnie wszyscy nienawidzicie, a przytem jestem jeszcze chory. Szczerze mi pana żal, ale trudno. Prasa unicestwia ludzi, wyniszcza duszę, serce, honor, rozum — o! rozum przedewszystkiem... A zresztą, czegoż wy odemnie chcecie? Cóż ja mam wspólnego z wami? Co mnie to obchodzi, czy mnie chwalicie czy zbezczeszczacie? Oddałem się w wasze ręce, w chwili, w której rzuciłem pierwszą książkę na rynek księgarski, kiedy obnażyłem publicznie moją duszę, teraz wolno wam ją plu-gawić i błotem obrzucać: moja to wina, moja wielka wina. Bo — nieprawdaż: Jeżeli to, co we mnie najskrytsze i najgłębsze rzucam na rynek, na to wasze ohydne literackie tar-gowisko, to przecież tem samem daję wam prawo patrzeć na to, jak wam się spodoba: uwielbiać, opluwać, ubóstwiać, mieszać z błotem. Nie, nie, kochany panie, to raczej ja powinienem się uniewinniać, bom sam względem siebie popełnił grzech śmiertelny, żem w ręce wasze oddał swą duszę.

Długie milczenie.

— A zresztą, cóż ja mogę powiedzieć, dla czego to lub owo robię? Zaledwie sam sobie zdołałem uświadomić, że coś robię, ale czemu? na co? po co? To jest ta straszna tragedia prawdziwego artysty, że jest jakimś narzędziem niewidzialnej potęgi, która mu tworzyć każe. Ma ona widocznie w tem jakiś ukryty, nieznany cel, aby go osiągnąć, wyszukuje sobie męczenników, i aby mogli tworzyć, niszczy im życie, robi ich ostatniemi nędzarzami, podstawia im nogę na każdym kroku, robi ich duszę smutną i przeczuloną; by to samo, co drugich zaledwie dotknie, ich śmiertelnie raniło... Bo tylko ból, ból jest macierzą twor. Et tout le reste — to Przybylski, he, he...

Urwał nagle i spojrzał podejrzliwie na Turskiego.

— Pan może myśli, że mi się trochę w mózgu pomieszało? Co?

Ale Turski był smutny i pogębiony.

— Czy pan rzeczywiście myśli, że ja ten artykuł napisałem? Nie rób mi pan krzywdy. Mną tak coś wstrząsnęło podczas tego straszego „Święty Boże” Szarskiego! Wiem, jako kulis dziennikarski jestem naturalnym wrogiem pańskim i najniższym pacholkiem tych wielkości, które z waszych odpadków, żyją, sprytnie was okradają i przeżuwają waszą niestrawną potrawę — tak, tak — ja to wszystko wiem, ale...

Spojrzał przeciągle smutnym wzrokiem na Czerkaskiego.

— Nie, nie, panie Turski, nie myślę tego. Ale rozpacz mnie bierze, gdy patrzę na tych nędzarzy. Winiarski w swoim atelier ma jedną kanapę, wilgoć i zimno, a przecież dogo-rywa na suchoty. Szarskiemu z trudnością uratowało się fortepian od licytacyi. Kurzawa musiał swój korpus w lustrze studyować, gdy tworzył Mickiewicza, bo nie miał czem za-płacić modelu. Ten, który to zrobił — Czerkaski wskazał na grupę, stojącą na biurku — nie ma za co dać sobie odlać w gipsie, w marnym gipsie tego, co mu się oddawna kruszy i pęka. A pan, pan, który miałeś rzeczywisty talent, pan dziś na usługach tej potwornej hydry, która nienawidzi sztuki, dla której twórczość wrogą jest i wstrętną... na usługach tłumy, który sztukę ocenia według tego, ile twórca zarabia. Panie? nie lepiej-że byłoby stryczek sobie pod szyją zawiązać?

Turski siedział zamyślony.

— Ja już i o tem myślałem, ale gdy spojrzę na dzieci...

Znowu długie milczenie.

— Wstrętna, ohydna komedia, że ten sam tłum, który dziś artystę kałem obrzuca, za pięćdziesiąt lat go uwielbi! Czy pan sądzi, że to postępek, że ludzkość dojrzeje? Pan sądzi, że dziś Słowackiego tłum lepiej rozumie, aniżeli przed pięćdziesięciu laty? Gdzież tam!



Przyszło kilku ludzi twórczych i tak długo działali silną sugestią na tłum, tak długo walili taranem w mur, aż się rozwalili, i ten wielki nędzarz, ten wyśmiany i błotem obrzucany wchodzi w zwycięskim pochodzie przez wyłom. Ha, ha, ha — mizerna to satysfakcja...

Zaśmiał się nagle i przysunął się do Turskiego.

— Widzisz pan, tak głęboko tkwi to nawet w nas, twórcach, bo, wybaczone panu, i ja się do nich liczę, tak głęboko, że i my nawet pragniemy poklasku i uznania tłumowi, którym gardzimy — pragniemy, jak ostatni komendant w Kołomyi lub za Drągiem lwowskim.

— Jakie to śmieszne i głupie — co? co?

Turski patrzył zdziwiony.

— Tak, tak, panie Turski, pogardzam sobą w tej chwili, ale jestem tylko, tylko człowiekiem. Ale ja to zmożę. Nauczę się patrzeć na nas, jako na kosmiczną potęgę, w której natura coraz więcej się uświadamia — a wy, wy róbce z gliny, którą my odrzucamy, bawidelka, idola i bałwanki, którymi tłum się bawi i cieszy, i za które was złotem i zaszczytami obsypuje... Och, niewdzięcznik, niewdzięcznik — po pięćdziesięciu latach całkiem o was zapomina, a wygrzebuje tych, którzy jak Winiarski z głodu umierali... Ale to widać tak być musi...

Turski wstał zamyślony.

— Pan mi nie wierzy, że ja nie pisałem tego artykułu?

Wierzę. A chociażby pan go napisał — tobym wierzył, że pan to zrobić musiał, i nie brałbym panu za złe.

— Tak, tak... musiał, musiał... To straszne słowo. Ale żegnam pana, pan jeszcze chory, pan bardzo podrażniony...

Przedwieczna ciszo — ukój me serce.

Niezglębiona tajni życia — schłoń moją tęsknotę.

Odwieczna falo powrotu i wiecznego bytu — zlej się łaską nadziei w mą duszę.

Elejson, elejson!

A iż jestem od początku i trwać będę po wszystkie bezkresy wieczności —  
wspomóż mnie, Pani!

A iż imię twoje święte mi zawsze było i nigdy daremnie go nie użyłem —  
wysłuchaj mnie, Pani!

A iż najcięższe bólu brzemie wziąłem bez skargi na ramiona i straszny krzyż cierpień  
dźwigałem w krwawym znoju na wzgórze śmierci i potępienia —

odkup mnie, Pani!

Elejson, elejson!

Źródło bolesnych rozkoszy —

Oblędna łasko natchnienia —

Potępieńcze łkania jesiennych wichur —

Ślubne łoża rozpusty i świętych upojeń —

Krwawy toporze mściwej zawiści i arko miłości i wiecznego przymierza —

do ciebie, Pani, wyciągam ręce w zbożnej pokorze, i proszę, i błagam:

nie opuszczaj mnie!

Przecucie świtu i godzin błękitnych —

Radośny gończe, co wiosnę wieścisz —

Ciepły strumieniu, co lody stapiasz —

Gwiazdo chłonna wszystkich słońc blaski —

Wartki strumieniu, co gór łańcuchy przeżywasz i kruszysz —

Kocham cię, Pani — w krzyż rozciągnięty tarzam się przed tobą,

stopy twe całuję i w krzyku uniesienia wołam ku tobie:

Zawitaj, gwiazdo porana!

Rozpaczny szale zwątpienia —

Rąk opadniętych gryząca trucizno —

Czarowna różdżko, co świętość w kał przemieniasz —

Zatruta strzało, co serca niewinnych szalem piekła spowijasz —

Złudna mgławico, co raje kłamiesz nieznane —  
Ku tobie, Pani wyciągam groźną, rozpaczłą pięść:  
Przeklinam cię!

Matko piękności —  
Matko rozpaczy i cierpień —  
Matko uludy i wiecznych upojeń —  
Matko cudu i tęsknoty —  
Odwieczna zmore, upiorze, szatanie —  
Korzę się przed tobą.

Elejson, elejson!

Coś z duszy wyrwała krzyk grozy — ryk bólu — słodki czar pieszczącego szeptu — ciche łkanie rozmodlonej tęsknoty — rozpaczy bełkot serce łamiącej pokuty — ciche tam-tam matczynej kołysanki — gniewny rozgwar pomsty i zawiści, —

Ulituj się, Pani!

Coś przed oczyma rozesłała rajski przepych tęcz i świtów i mroków — o, można Pani, co w zaćmieniu słońca, w upiornie czarnym cieniu ziemi straszysz sądem ostatecznym wszelkie jestestwo — co wód głębie ku niebu spiętrzasz — co pustyń piaski od dna odrywasz i żarem słońca przepojoną lawą niebo zaćmiewasz — co wściekle bałwanów nawroty na spienionych morzach łagodzisz i w uśmiech słodkiej stroisz dzieciny:

Ulituj się, Pani!

Ryku burzy i huraganów —  
Roztopie wściekłych barw i rozszalałych tęcz —  
Łkający bólu jesiennych deszczów —  
Łasko rozrodu i wiosennego szału —  
Grozo przekleństwa, szłochu pokuty, szepcie miłości, bełkocie upojeń —  
Elejson, elejson!

Dobrotliwa —

Wieczna —

Uhudo — Męko — Rozkoszy:

Amen, Amen, Amen...

I po trzykroć zadzwoniły sygnaturki

Amen, Amen, Amen!

Cisza, wielka cisza przedstworzenia.

Czerkaski wgrzązał klęcząc w poduszki łóżka i powtarzał: Amen!

Tak, Amen — straszne, rozpaczne, bezpamiętne Amen!

---

Tak modlił się ustawicznie do swej strasznej kochanki Sztuki, a coraz większa niemoc i bezsiła obejmowała jego serce.

Ilekcio zapragnął pracować, czuł jakiś bolesny, przytłaczający ciężar — ani jednej myśli nie mógł rozsnuć, słowo stało się niedołącznym, czzem i pustem. Tak, i jemu przegryzł mózg jad malaryi: serce wyschło, dusza — twórcza, nieznana dusza — straciła głos, bo przestał ją ból sycić.

A on już nie cierpiał, nie umiał cierpieć.

W takich chwilach nienawidził wszystkich i siebie — och, siebie przedewszystkiem!

A ten straszny potwór — Sztuka — szczyła z jego niemocy, szczyła zębami, nęciła, wabiła ku sobie, by go w coraz większej pograżać rozpaczy.

Ból jego odwrócił się od niego.

Ta dusza, dusza poza wszelką świadomością, która mu odsłaniała niepojętą piękność, kazała czytać rzeczy tajemne i dla oka ludzkiego ukryte, która mówiła mu o ukrytej istocie rzeczy poza uludą zjawisk, zamilkła — czyż już na zawsze?

Zdjął go straszny lęk: czyż już na zawsze?

A przecież wszystko, co dotychczas stworzył, miało być tylko przedwstępny pracą, studium przygotowawczym do tego, co stworzyć, co odsłonić i objawić miał...

Objawić, tak — objawić rzeczy wielkie i ciemne, jak ongi prorocy, co przyszłość odsłaniali.

Ujrzał ciemne pieczary w dzikich, niedostępnych górach, pieczary, w których prorocy-twórcy przygotowywali się do wielkiego święta Zesłania Ducha Świętego.

Prorok-twórca, w długich dniach męki, w postach, w żarliwej a rozpacznej modlitwie, błagał o łaskę natchnienia.

Zwolna obumierało ciało i poczyniała się dusza wylaniać. Straszne wizye rzeczy, które przyjść miały, stawały przed oczyma — potworne, nieznanne obrazy mózg szaleńcem spowijały — dusza się szarpała, by znaleźć słowo — och, jedno słowo, któreby to wypowiedzieć mogło.

Lecz nic! Tylko bełkot, niejasny, niezrozumiały bełkot i straszliwa męka wszystkich nerwów i mięśni.

I odnowa żarliwsze jeszcze modły, ostrzejsze jeszcze posty, sroższe jeszcze umartwienia.

I coraz dziksze, potworniejsze wizye zapełniały pieczarę — całe piekło się rozwierało — cała otchłań nieznanego bytu ziała u nóg.

Ale jeszcze nie przyszedł czas, w którym się Słowo narodzić miało.

Bo na te rzeczy jeszcze słowa nie było.

Aż jednego dnia, wśród strasznych konwulsyj, wśród szumowin, co usta pianą zabiełały, wybuchło to olbrzymie, potężne, twórcze słowo, które trony zwałało, nowego Boga wieściło, nowe prawa ustanawiało, państwa burzyło i nowe budowało.

I z tym twórcą porównywał biednego, biednego artystę naszych czasów.

Jakież to wszystko nieskończenie tanie i biedne!

Gotowe formy, gotowe słowo, nawet treść gotowa według głupiej formułki Goethego: „*wo man's packt, da ist interessant*”.

Och! stworzyć choć jedno słowo, wyrwać je z siebie razem z ochłapem serca — słowo, przy którego porodzie skonaćby można z męki i rozkoszy.

Hej! rozkwitła ziemia, jako widna i szeroka — skrzy się jezioro brylantami i złotem świętej niebios monstrancyi — szumią topole nad brzegiem w sennym upojeniu — kołysze się w skwarnem skupieniu sitowie i las trzciny — i wszystko tchnie spokojem, uciszeniem, modlitwą — tylko w jego sercu ból, i gorycz, i szarpiąca zgryzota.

Hej! na łące wyśpiewuje Jasiek, jego brat mleczny rozpustne piosnki na melodyę gorzkich żalów, ulinił sobie piszczałkę z gałęzi wierzby, i śpiewa, i gwizdże, a Wojtek trzaska z bata i pędzi pijany co koń wyskoczy, a Marysia bije kijanką bieliznę w jeziorze, podkasawszy się po pas, a na murawie bielą jurne dziewczyny płótno i uganiają się z parobkami — wiosna, wiosna — roztajały lody i serca, rokwiły wierzby, pęcznieją brzozy, srebrzą się świeżym liściem topole, tylko w jego sercu smutek i żal.

Jakiż mój początek, jakiż cel, o Panie?

Mamże sam jeden wlec się samotny przez życie, bez chwili szczęścia i wesela?

I cóż zamierzasz, Panie, ze mną w niedościgłych, niepojętych twych wyrokach?

Mamże, jak on prorok, co z krzemienia swego serca wykrzesał gorący promień Słowa, iść między moją brać i czynić Twoje objawienie?

To daj mi ono słowo, które wszechmoc Twoją wypowie, daj mi je, a podźwignę krzyż jeszcze krwawszy!

A jeżeliś w nadmiarze łaski Twej chciał we mnie objawić nieznanych tajemnic potęgę, to zasiej odnowa plennem ziarnem me serce, ożyw rosą Twej mocy duszę mą, bom biedny, o Panie...

— Jezus Maryja, co się ze mną dzieje?

Czerkaski zerwał się przerażony.

Przecież nie jestem chory — przecież mój umysł pracuje trzeźwo i jasno?

Zgrzytnął zębami.

Po coś mnie stworzył.

Nieść objawienie? Czego? Dla kogo? Jam sam — sam — sam!

Uspokajał się zwolna.

A Jasiek grał na łące, grał na piszczałce ulinionej z wierzby — a Marysia klepała bieliznę kijanką z coraz większą zaciętością — Wojtek smagał konie, że pręgi jak bicze wyskakiwały na skórze — a stary Górny chodził od obory do stajni, od stajni do owczarni, i biadał, biadał, że młoda żona z parobkiem na sianie... Oj, danaż moja dana...

Ciemniało. Żaby rzechotały w stawach — z dali turkot wozu lub szczekanie psa — Jasiak objął ramieniem Marysię — szeptali długo, szeptali cicho — potem ona krzyknęła, wyrwała się, on ją pochwycił — a Jędrak wygrywał smutne szorce na harmonice — a Górny chodził i myślał — powrozem udusić, czy siekierą, obuchem w łeb?...

Biedny Górny — śmieszny Górny...

— A widzisz, kmotrze, nie mówiłem ci — Ławecki ostrzył kosę osełką — a czemuś się żenił? potrzebne ci to było?

Górny siedział na kamieniu, i myślał, i myślał: powrozem, czy siekierą?

Gdybym umiał pisać kamieniem, jak ci, co piramidy budowali, co potężne poematy pisali cegłą, kamieniem i tworzyli gotyckie świątnice — ale ja, biedny marny plebejusz, co pisze atramentem i piórem — ha, ha, ha...

A ty, o Pani, dzika nierządnicu, co służysz wybranym i niegodnym —

Ty, której szaty może zdzierać kapłan i pacholek —

Ty, kale, brudzie, piękności —

Bądź mi pozdrowiona!

Ty, Pani, można niegdyś i potężna, gdyś z piersi proroka serce wyrywała i krwią zbluzgane przed tron Boga rzucała —

Ty, która niegdyś w dziki szal tworzenia całe tłumy wprowadzałaś, że martwym głazem całą swą nędzę, cały straszny ból tego świata wypowiedzieć umiała —

Ty, która niegdyś dawałaś twórcy taką moc i potęgę, że niszczył stare tablice i nowe zapisywał — nowy zakon tworzył —

Ty, która dziś, sprzedajna, na wszystkich rynkach, na metry, stronnice, arkusze, kilogramy gliny się liczysz —

Bądź mi przeklęta!

Bądź mi przeklęta! — huknął pięścią w stół...

A może ktoś pukał do drzwi? Zdawało mu się, że ktoś pukał...

Patrzył z trwogą na drzwi.

Drzwi otwierały się z wolna, lękliwie...

We drzwiach stała wysmukła, drobna postać kobieca, czarno ubrana...

Oczy, oczy! Straszne, smutne — nie — nie smutne, w pół obłąkane oczy...

Hanka! Hanka!

Przypadł do jej nóg i w chciwym oblędzie całował jej stopy.

Hanka!!

Hanka stała nieruchoma, martwa — trup...

Hanka!

Glińska stała nieruchoma, patrzyła w jakąś bezbrzeżną dal. Była trupio-błada, a oczy miała jakby skamieniałe w jakimś ciemnym bólu.

Czerkaski nie mówił słowa, tulił się tylko z jakimś chorem, w pół błędnym pragnieniem do jej kolan.

Tak minęło dużo, dużo czasu.

Jakieś kamienne znużenie opanowało ich, ani on, ani ona nie mogliby się ruszyć.

Była chwila, w której mu się zdawało, że to wizya, że to sen. Był szczęśliwy, że tak śnić może — och, usnąć, usnąć, tuląc się do jej kolan.

Była chwila, że jej się zdawało, iż tak mocno, tak potężnie wpatrzyła się w minioną dal, że wola jej wyczarowała, przemocą wywlokła z dalekiej przeszłości tego człowieka, by nogi jej otulał, by rękoma objął jej kolana, by głowę złożył na jej sukni — tak, jak kiedyś — przed wiekami — on, on, ten ukochany, ten przeklęty — szatan ten.

I stała, i ruszyć się nie śmiała, by sen się nie rozwiął, mara nie prysnęła — on — on...

Och, jak to koilo ból, jak to uśmierzało ten straszny lęk, to szalone, przebolesne cierpienie.

— Hanka! — wybełkotał nagle — Hanka! Hanka!

Spojrzała na niego niemem, o milion lat, o milion mil odległym spojrzeniem.

I znowu cisza.

Śnił, tak! śnił.

I ona śniła, tak! śniła.

Jak dobrze, jak słodko, i tak, tak strasznie, tak dobrotliwie, tak łaskawie smutno.

Widziała przez wielkie okno, jak dwa konie ciągnęły wóz, naładowany kamieniami, jeden koń upadł, woźnica bił go biczem, ile sił starczyło: nic nie pomagało. Koń rżał, charczał, zrywał się na nogi i wciąż upadał. A ten drugi, wylękniony, że i jego ta sama kara spotkać może, wysiłał się, szarpał postronkami i także padł. I wielka, wielka ciżba ludzi. Radzili, klócili się, wyzywali — ale to wszystko przez sen — z dalekiej, dalekiej dali... Wiedziała, że krzyczą, ale nie słyszała krzyku. Potem chwycono konie za uździenice, postawiono je na nogi. Wiedziała, że nowy ciężki grad bicza spadł na grzbiety schudzonych zwierząt, ale nie słyszała trzasku bata, ani ryku rozgoryczonego tłumu.

Patrzała tylko z przeraźliwym spokojem, jak konie szarpnęły wreszcie wóz — jak wóz się potoczył...

— A teraz z górki będzie już łatwiej — pomyślała.

Czerkaski siedział wciąż, przytulony do jej kolan.

Gładził swą twarz o czarny jedwab jej sukni, słyszał jej głos, jej wesoły śmiech i... i...

Ocknął się.

Spojrzał na nią.

I ona się ocknęła.

I spojrzała na niego jakimś tajemniczym, dziwnym wzrokiem.

Powstał i czekał. Więc to jawa — rzeczywiście jawa... Cofnął się.

Cisza.

Oprzytomniała.

— Pan był chory — głos jej drżał jak delikatna struna metalowa, szarpana brutalną ręką — słyszałam, że pan już zdrowszy — i — musiałam przyjść do pana z wielką prośbą...

— Hanka!

— Ja, ja... proszę pana — zrób mi pan tę łaskę... to jedno — proszę pana...

Czerkaski nic nie słyszał. Tylko bezgraniczna miłość, tkliwość — jakieś nieskończone uczucie błogości, jakaś święta łaska, co się w bezden próżnego, wypalonego krateru jego serca gorącym zlewała strumieniem... Głos jej, jakby przywiany z za szerokich pól, — i te oczy, te bezdenne oczy — smutne? wesołe? drwiące? szydzące? nienawistne?

Obrzuciła go nagle zimnem, stalowem spojrzeniem.

— Rozumie pan, co mówię?

— Nie!

Zamyśliła się.

— Pamięta pan ten dzień, ten nieszczęsny dzień, w którym pana poznałam?

— Pamiętam.

— Pamięta pan, co mi pan wtedy powiedział?

— Pamiętam.

— Pamięta pan, gdym — ha, ha, ha — gdy panu po raz pierwszy... ha, ha, ha... szarpnęła się konwulsyjnie i wybuchnęła chorem śmiechem — gdy pan — pan — pan mnie do rajy wprowadził? Ha, ha, ha — raj, raj, raj...

Czerkaski patrzył na nią uważnie.

— Dziwne, Hanka, to bardzo dziwne — te twoje oczy, i głos, masz coś tak dziwnego...

Śmiała się długo, serdecznie, dzikim obłądnym śmiechem.

— Nędzny komedyant z ciebie.

Cisza.

Zbladła nagle i zachwiała się. Pochwycił ją, posadził na sofie.

I znowu zdawało mu się, że śni. Dziwny, dziwny, pozaświatowy sen.

— Powiedziałaś panu coś przykrego?

— Nie!

— Zdawało mi się.

Chciał wziąć ją za rękę, ale nie śmiał. Siedział cicho.

Po chwili:

— Jestem już spokojna! Słyszysz mnie pan — rozumie mnie pan?

— I jam spokojny; słyszę i rozumiem.  
— Błagam pana, proszę na wszystko, wyjeżdżaj pan ztąd; pan jest artystą, dla pana wszystko jedno, czy pan jest tam, czy tu — jedź pan tylko, jedź — ja tej męki nie zniosę — ja szaleję — i on — mąż mój, traci równowagę — Chryste Panie!

Wybuchnęła płaczem.

— Jezus Marya, coś ty zrobił!

Milczał, pochwycił jej rękę i miał ją kurczowo w swej dłoni. Patrzył na nią z dziwnym lękiem. Ta drobna twarz, przezroczyście blada, i te wielkie oczy nie z tego świata, i ten głos, przywiany z bezgranicznej dali...

— Hanuś, to ja — to ja...

Była jak obezwładniona, pozwoliła z sobą robić, co chciał.

— Połóż tu główkę, tu...

Wieczność minęła. Słodka, dziwnie słodka, dziwnie smutna wieczność.

To tak, jak ongi, gdy matka mu umarła, i ojciec się zamknął na siedm kluczy w pokoju — a on został sam jeden w wielkim dworze. Błąkał się, błąkał — gdzie się ruszył, upiorne, potworne, straszące cienie śmierci — śmierć, śmierć, i groza i przerażenie... Nadeszła noc... Trzy razy podchodził pode drzwi ojca, i błagał, i prosił: tato, tato! — Ale ojciec, skamieniały, nieprzytomny, leżał na sofie, patrzył w sufit: nic nie widział, nic nie słyszał.

I za każdym razem pukał nieśmiało, trwożnie, czuł, że się tam dokonywa święta tajemnica bólu, który skamieniał — rozpaczy, która się w słup soli sodomskiej obróciła... i — i wracał i błąkał się po ciemnych pokojach.

Tato! tato!

Śmiertelna cisza!

I — biedne, wpół błędne dziecko — znalazło się nagle w pokoju swej siostry.

Chłopak rozejrzał się, splakany.

— Tato nie chce otworzyć.

— Cicho, cicho, położę cię spać.

— Boję się, boję.

— Ja sama położę cię spać.

Oczy, płaczem opuchłe, zamykały się — Siostra łagodnie wzięła go na ręce, obwił nagle na jej ramionach i usnął.

Słodka, dziwnie słodka, dziwnie smutna wieczność...

Ogarnął Hanę — przytulił ją do siebie:

— Hanuś, wybacz mi, wybacz...

Szarpnęła się.

Odruchem poprawiła włosy i znowu spojrzała na niego zimnym, stalowym wzrokiem:

— Wybacz pan, jestem tak strasznie przemęczona... W tej chwili idę, tylko... przyrzecz mi pan, że pan wyjedziesz — natychmiast wyjedziesz. Teraz pan już zdrow. —

— Jeszcze nie! — powiedział twardo.

— Ale w tej chwili, gdy pan całkiem przyjdzie do sił wyjedzie pan?

— Nie!

— Nie? Nie? — Roześmiała się. — Nie? Ja pana do tego zmuszę!

— Pani?

— Tak, ja, ja — ja to zrobię.

Spojrzał na nią przeciągłym, smutnym wzrokiem.

— Nienawidzisz mnie?

Patrzyła przed siebie dalekimi nieprzytomnymi oczyma.

— Nienawidzisz mnie, tyś mnie zawsze nienawidziła. Zawsze, zawsze. Twoja miłość była nienawiścią.

Uśmiechnęła się.

— Tak, tak, moja miłość... miłość... Czemu mówisz o miłości? Nie kalaj tego słowa — nie kalaj, bo ty brukasz miłość, hańbisz ją...

Podniecała się.

— No, rzuć się na mnie, — zgwałć mnie — masz prawo.

Mówiła cicho, spokojnie, mówiła jakby z jakimś dalekiem przypomnieniem.

— Wy wszyscy macie prawo — dla czego ty sam jeden tylko? Zdaje się, że gdzieś napisałeś: bo jeżeli żona przestąpi próg obcego męża, ukamienujcie ją...

— Hanka, Hanka, co ty mówisz — nie mów tego.

Mówiła coraz ciszej i coraz spokojniej.

Nie, nie gniewaj się — nic nie jesteś winien. Wszystko, wszystko moja wina; byłam niepoczytalna, po raz pierwszy pokochałam, nigdy przedtem nie kochałam, nie umiałam ukryć mej miłości, aż nadto dawałam ci do poznania, co się we mnie dzieje — tak, ja pierwsza powiedziałam ci wtedy, gdyś tak słodko i pięknie mówił, ja pierwsza ci powiedziałam: — jaki pan miły — ja pierwsza pogłaskałam cię po twarzy, gdyś powiedział: chciałbym uczuć dłonie pani na mej twarzy — ja, ja...

Umilkła — siadła w fotelu.

Czerkaski patrzył pośpiesznie w ziemię — czuł straszny ból, i nienawiść, i miłość, a potem znowu rozgoryczenie, że z takim okrutnym szyderstwem rozraniła jego serce.

Och, jak walczyłam ze sobą, jak szalałam — ciało własne drapałam z bólu, tęsknoty i pogardy, zaciniałam zęby, pięście zaciskałam i mówiłam nie! nie! nie! a serce krzyczało tak! tak! tak! I stało się... I czemuż, czemuś mi nie powiedział: Hanka! nie możemy oszukiwać tego człowieka — czemuś, czemuś — zanosila się od płaczu — czemuś mi tego nie powiedział...

Znowu przysiadł u jej nóg, obejmował jej kolana i nic nie mówił.

Uspokoila się nagle i mówiła cichym, zimnym głosem:

— Tak, tak — powiedziałeś sobie. Zgiąć nie można, więc złamać odrazu. Glińska się uspokoi. Znienawidzi, splunie, ale się uspokoi. Bo wy — wy, mężczyźni, miewacie czasem strasznie brutalne dusze...

— Hanka!

— Tak, Hanka! Hanka! Ale Hanka się nie uspokoiła. Hanka umarła. A tyś zagwoździł wieko od trumny. Zdawało mi się, że już — już umarłam — ale, gdym cię zobaczyła wtedy o zmierzchu, zanim zachorowałeś — a i ty widziałeś — widziałeś mnie dobrze — straciłam zmysły, i proszę, i błagam cię, jedź, jedź, bo oszaleję, bo stanie się straszne nieszczęście... I będziesz mnie miał na sumieniu...

Zesłabła, obwisła cała w jego ramionach.

Całował ją, tulił, i powtarzał ustawicznie: Hanka moja, Hanka, Hanka...

Broniła się słabo, obezwładniona.

— Nie całuj mnie — szeptała — jak taka słaba, bronić się nie mogę, twoja pieśczoza ogłusza mnie, krwią mózgu mi zalewa — a to mnie kała, brudzi, zohydza — a ja się oprzeć nie mogę...

Pochwycił ją jak dziecko i nosił dookoła pokoju.

— Hanka, kocham cię, o żebyś wiedziała, jak cię kocham!

Wyrwała się nagle, drżąca, wściekła, rozszalała:

— Nie kłam! Nie kłam! Powiedz brutalnie, bezwstydnie: pragnę cię — ale nie mów, że mnie kochasz! Ha, ha, ha... Jakiś ty wstrętny i — o Boże, litościwy Boże — jak ja cię kocham!

Śmiała się i płakała.

— Jak ja cię kocham! Każde twoje dotknięcie w szal mnie wprowadza. Spojrzeć na ciebie nie mogę, bo, bo... Boże, jak ja tęskniłam za tobą!

— Jak ja sobą gardzę! Jakam ja wstrętna, podła, marna — kochać człowieka, który mi serce zdeptał — ciebie kochać! — o jakażem ja podła i marna!

— Cudzie, raję mój, wybac — wybac... To nie to, nie to... Dzień przedtem byłaś w teatrze... Siedziałaś obok męża... A on nie patrzył na scenę, tylko oczy jego latały, biegały — szukał, szukał — bo czuł, że tu jest ten... ten... rozglądał się przez lornetkę na wszystkie strony, szukał — a ja się kryłam w łożu, przerażony, wylękły, bo wiedziałem, że jak tylko spojrzy na mnie, będzie wiedział, że to ja. Wszak się nie znamy, a mimo to czułem, że z całą pewnością będzie wiedział: to ten, tylko ten. I rzeczywiście odkrył mnie. Poznał mnie natychmiast. Twarz mu się cała skurczyła, nie widziałem, czy drgnął, ale czułem, że cały się zatrzęsł, i opadł na fotel — o, to było takie straszne... Przeklinam dzień, w którym do ciebie przyjechałem... to mnie zabiło — a potem, gdym wrócił do domu, stało się to — i ogarnęło mnie jakieś dziwne przerażenie i lęk — zdawało mi się, że to początek czegoś straszego, jakiś mściwy palec Boży — bo ja wiem?... Nie pomnę dobrze, co się ze mną działo...

— Co się z tobą działo? O, ja wiem dobrze, co się z tobą działo. Nie kłam, Janek, nie kłam — po co masz kłamać, po co masz się uniewinniać — ja wiem wszystko, nie potrzebujesz okłamywać siebie.

— Jam taka zmęczona... tak strasznie się zmęczyłam — od pierwszej chwili, w której cię zobaczyłam, oka zmrużyć nie mogę. A zresztą, bo ja wiem? Chciałam cię widzieć — och, raz jeszcze na ciebie popatrzeć! Bo nie wiem, nie wiem, co zrobię, gdy wyjedziesz...

Odsunęła się od niego i patrzyła nań nieprzytomnie.

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem...

Mówiła prawie z obłąkaniem i jakby do siebie.

— Nienawidzę cię, brzydzę się tobą — przyszłam, by ci najcięższą obelgę rzucić w twarz, a gdy cię znowu ujrzałam, gdy posłyszałam twój głos, gdy...

Zerwała się.

— Janek, jam chora, obłąkana, ja oszalałam z bólu. Kochasz mnie taką? Ha, ha, ha... Kochasz? Kochasz? ha, ha, ha...

Śmiała się długo, cichym, obłądnym śmiechem.

A w nim, jakby się coś załamało. Czuł tylko, że ją kocha, że nigdy nikogo nie kochał prócz niej, że wszystko inne było złudą, marą, głupim, ciężkim snem...

— Hanka, już teraz na zawsze pozostanę przy tobie.

— Tak, tak, zostań, zostań... powiedz mi to raz jeszcze...

I znowu zerwała się na równe nogi.

— Powiedz mi, powiedz, powiedz!

— W piekło potępienia pójdę, ale z tobą...

Glińska znowu zaśmiała się — cicho — błędnie...

— Tak, tak, tak...

Jakiś olbrzymi spokój wypełnił jego duszę po brzegi. Mogłaby teraz rzucać mu w twarz najobelżywsze wyrazy, mogłaby pienić się z nienawiści, mogłaby go zębami szarpać, a on byłby spokojny, bo miał ją przy sobie...

Ogarnęło ich jakieś wielkie, samotne zmęczenie. Zdawało im się, że są odcięci od ludzi, że błędzili przez dzień cały po głuchej pustyni, że jakiś olbrzymi żywopłot wyrasta przed nimi i odgradza ich od świata: mała ścieżka nad morzem — przed nimi widny, szeroki, otwarty ocean — za nimi niebosiężny płot zjeżony kolcami, poplątany gdyby kunsztowna tkanina głębokiego dywanu perskiego. A morze się rozlało migocącym, lekko zmarszczonym lustrem, morze głębokie i ciemne — a za nimi żywy mur.

Byli sami, i tak im dobrze było z sobą w współsennym zmęczeniu.

— Jam taka zmęczona, tak strasznie zmęczona — tuliła się do niego, jak chory ptak tuli się do ciepłej dłoni człowieka...

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

— A... a... no, nic już, nic... Widzisz, jam taka strasznie zmęczona...

— Twoje włosy, Hanula, włosy twoje...

— Pocałuj, pocałuj moje włosy...

Szarski chodził po pokoju głęboko zamyślony.

Chwilami zdawało mu się, że cierpi, ale nie, to nie był ból, tylko jakaś bezzmierna apatya i obojętność na wszystko.

Zdawało mu się, że teraz dopiero patrzy jasno i czystym wzrokiem na świat.

Więc cóż? więc cóż? powtarzał bezustannie.

Ha! nic!

Nic i nic. Umrę, dobrze — wszyscy ludzie umierają, toć i ja umrzeć muszę, a ponieważ żyć nie mogę — no i t. d.

Przypomniała mu się jakaś logiczna formułka, której się kiedyś uczył z ciężkim mozołem w gimnazjum, a według której on umrzeć musi, ponieważ wszyscy ludzie umierają.

Myśli jego poczęły się w kółko kręcić naokoło tego jednego faktu, że wszyscy ludzie umrzeć muszą.



Prędzaj, czy później — no, i cóż znaczą te kilka lat, które mógłby żyć jeszcze — żyć w nędzy, w ustawicznej gonitwie za groszem, w upokorzeniu i strachu, przeraźliwym strachu, co będzie dalej.

A może dawać lekcje początkującym młodym panienkom, na przykład, w asystencyi babek i ciotek?

Albo może zostać wędrownym wirtuozem, przeżuwać obce myśli, wgłębiać się w cudze pomysły, odtwarzać obcą duszę, robić mniej lub więcej szczęśliwe kopie tego, co przed nim inni zrobili?

Mille grâces! On miał swoją własną duszę, on nie potrzebował wglądać za kulisy obcych dusz.

Ale cóż — cóż?

Nie miał już sił do dalszej walki — cóżby zresztą wywalczył?

Publiczność, dla której najwyższym ideałem jest *Halka* Moniuszki, ta sentymentalna miernota, która w szal ekstaty wpada przy głupiej i banalnej muzyce kantat i pieśni okolicznościowych, — wzruszy co najwyżej ramionami, a reporterzy, niemający najmniejszego wyobrażenia o muzyce, obsłinią, oplują mu to, co on z serca w krwawej wyrwał męce.

Zdjął go wstręt niewymowny na myśl, że mógłby się dostać w paszczę tej potwornej gadziny, prasy, że mogliby go pochwycić w swoje drapieżne szpony chciwi i głodni piraci reporterzy, że mógłby się stać dla nich źródłem zarobku, he, he — źródłem bogactwa narodowego...

Nie, nie — po stokroć nie!

Nie dam sobie duszy opluć, lepiej z głodu zdechnąć, a duszę w czystości utrzymać.

I zdjęła go straszna trwoga przed tem, co koniecznie nastąpić musiało...

Wagner? Tak, Wagner! Ale znaleźć króla, którego chore oko bawiły i zachwyciły barbarzyńskie i tak niezmiernie naiwne dekoracje, którego dziewiczą fantazję podsyciły naiwne i patetyczne wylewy nieskończonej biegunki słów.

O, Wagner był sprytny, a ja nie jestem sprytny — nie umiałbym wyzyskać królewskiej słabości do dekoracyj i powodzi wyrazów.

Ha, ha — dajcie mi króla, ale króla, który muzykę pokocha, nie dekorację, i dajcie mi pieniędzy!

Drgnął.

Pieniędzy! Podszedł ku oknu i po raz tysięczny czytał pomiętą kartkę, którą otrzymał przed kilku godzinami:

„Mój drogi, pozostaje mi tylko jedna alternatywa, albo zostać buchalterem, albo sobie życie odebrać. Nie pojmuję, dla czego mam zwolna konać w biurze nad *debet* i *credit*, nie pojmuję również, jaką lukę może człowiek, pracujący w biurze po dziesięć godzin dziennie, wypełniać w społeczeństwie, nie pojmuję również, dla czegobym ja miał służyć społeczeństwu, które mi ani na chwilę pomocnej ręki nie podało, więc wybieram śmierć.

Nie mam żalu do społeczeństwa, bo ono nie potrzebuje naszej sztuki, jest za ubogie duchem, by cieszyć się pięknnością i przepychem, idę w śmierć uśmiechnięty, w lakierkach i fraku, cichy i pogodny, bo śmierć jest dobra.

Bądź zdrów; gdy ci będzie zbyt źle, zrób to samo — mnie się teraz oczy otworzyły, huska z nich spadła, przeżywam dziwne tajemnice, odsłaniam niepojęte zagadki: odradzamy się przez śmierć, by wrócić po stuleciach potężniejsi i piękniejsi, kiedy ludzkość będzie tak bogatą i tak królewską, że nie będzie żądała od sztuki pożytku”.

Zimne dreszcze go zbiegły.

Więc on, on, ten dumny, niedostępny arystokrata, już nie żyje.

On, który chciał przywrócić słowu jego metafizyczny charakter: wartość dźwięku muzycznego, on, który marzył o stopieniu słowa z muzyką, dla którego słowo było tą samą świętą tajemnicą, co dla pierwotnego człowieka, gdy w ciężkim porodzie wyśpiewywał, wykrzykiwał swoje wrażenia... — on już nie żył!

On, co z pogardą patrzył na tę ulewę słów, nieskończoną nienawiścią pałał do tłumu, który za swoje pieniądze chciał mieć odpowiednią ilość arkuszy, on, dla którego jedno zdanie, jedna metafora miała sto razy większe znaczenie, aniżeli całe tomy naszych najbardziej cenionych, — już nie żył!

Nie żył!

Szarski wpadł w jakieś wpół błędne zamyślenie.

Przed oczyma jego przeciągnął cały szereg ponurych wizyj.

Widział małego brata w kołysce. Kochał go, jak może nikogo potem nie kochał. Pamięta: zerwał się nagle z łóżka; światło. Włosy mu się na głowie zjeżyły, jakiś przerażający strach obezwładniał mu członki; stał w łóżku, nie mógł się ruszyć. I zwolna, począł się skradać, zataczając się, do pokoju, w którym leżał mały brat... Matka wyczerpana leżała na ziemi, rozciągnięta w krzyż, błagając Boga o łaskę; brat sztywniał w kołysce. Na szelest otwierających się drzwi spojrzął na niego cichemi, szeroko rozwartymi oczyma, magnetyzował go, ciągnął ku sobie, mówił temi oczyma, mówił, mówił o tej świętej rozkoszy, że ziemię porzuca.

I musiał podejść; nowy, nieznany świat rozwarł mu się w tych cichych, skupionych oczach, i widział nieskończenie błogi uśmiech na twarzyczce dzieciны — i jeszcze jeden, szczęśliwszy jeszcze — i skończyło się.

Szarski uśmiechnął się błędnie.

Tak, tak, śmierć jest dobra.

I widział swego przyjaciela na łożu śmierci.

Od dwóch tygodni czuwał u jego boku, nie spał, nie jadł, w rozpaczonym wysiłku walczył z krwotokami, które się coraz częściej powtarzały, ale wreszcie nastąpiło polepszenie i od dwóch dni przestał chory płuć krwią. Odetchnął. Teraz wreszcie mógł spocząć. Położył się na kanapie i usnął snem kamiennym. I nagle: jakby jakaś zimna, lodowata ręka głaskała go nieustannie po twarzy. Obudził się i otrzeźwiał.

Chryste Panie, te straszne, obłąkane oczy konającego! Ten przeraźliwy, rozpaczny krzyk: ratuj mnie! Ta wściekła pieniąca się nienawiść: czemu mnie nie ratujesz? ta błagalna, jęcząca prośba: skończ moją mękę — te ręce, co, bezładnie poruszając się na kółdrze, czepiały się jej w śmiertelnym strachu, w okropnym, przebolesnym krzyku za życiem...

Straszne, straszne...

Szarski ocierał zimny pot z czoła i cały wklęsł, wkułił się w róg kanapy.

Skamieniał z przestachu.

W półmroku zarysowała się czarna postać, tylko twarz była widna ze straszonym, konwulsyjnie wykrzywionym śmiechem na białych ustach.

Hela!

A postać szła coraz bliżej ku niemu — oczy płonęły niezmiernym blaskiem, usta w ustawicznych konwulsyjnych drganiach...

Chodź, chodź w taniec miłości i śmierci, chodź, chodź...

Zerwał się z nieludzkim wysiłkiem i rzucił się ku drzwiom... Drzwi były zamknięte.

Chodź, chodź w taniec rozkoszy i piekła, chodź, chodź...

Rzucił się w błędnym lęku ku oknu...

Chodź, chodź w taniec rozpusty i wiecznego potępienia, chodź, chodź...

Teraz zaczął biedz jak szalony naokoło pokoju, ale czuł ją ustawicznie za sobą, teraz objęła go rękoma, podrzucała go, okręcała wkoło, ciskała jak piłkę o ściany, potrącała o meble.

Nasz taniec, nasz taniec — ha, ha, ha... taniec miłości i śmierci...

Mara się rozwiła. Ktoś pukał od dłuższego czasu gwałtownie do drzwi.

Szarski ochłonął. Potoczył się ku drzwiom.

Kto tam?

— Otwórz, na Boga, to ja, ja, Czerkaski.

Szarski otworzył.

Czerkaski był dziwnie zmieniony, dygotał jak w febrze, chwiał się na nogach.

— Górecki się zastrzelił!

— Tak? No i cóż? Tośmy wszyscy powinni zrobić.

Długie, długie milczenie.

Szarski zaśmiał się cicho. Już go mary nie straszły Już był spokojny.

— Niema miejsca dla nas — myśmy niepotrzebni. Społeczeństwo zdrowe, ty wiesz, tem zdrowiem, które my duchową nędzą nazywamy — obca siła idzie mu w pomoc — wytrzebia nas powoli, bo społeczeństwo potrzebuje chleba i pożytku — a myśmy nie-użyteczni — my jesteśmy gorszycielami i uwodzicielami młodzieży — ha, ha — Sokrates też był uwodzicielem młodzieży... Nawet stara Wisła sprzysięgła się przeciwko nam — zięje na nas malaryą, zatruwa nas...

Czerkaski zaczął mówić po długiej chwili.

— Gdy się o tem dowiedziałem, zdjął mnie straszny lęk o ciebie, biegłem jak szalony — tknęło mnie dziwne przecucie — no, ale tyś za silny na to... — patrzył na niego badawczo... — Ale ty dziwnie jakoś wyglądasz?

— No, wstrząsnęło to mną trochę i wypilem raz jeszcze tyle co zwykle.

— Szarski, pamiętaj, nie rób głupstw — bądź zdrow, trzeba się zająć pogrzebem.

Będziesz miał aż dwa, pomyślał Szarski, ale nie powiedział tego głośno.

Po wyjściu Czerkaskiego, położył się na łóżku, chwilę czuł lęk przed zmorami, przed temi, co powracają, chciał się zerwać i sięść przy fortepianie, ale nie miał sił. Zapalił świecę, wziął biblię do ręki i począł czytać.

„...marność nad marnościami i wszystko marność. Cóż za pożytek ma człowiek ze wszystkiej pracy swej, którą prowadzi pod słońcem?

Widziałem wszystkie sprawy, które się dzieją pod słońcem, a oto wszystko jest marnością i utrapieniem ducha.

Bo gdzie wiele mądrości, tam jest wiele gniewu; a kto przyczynia umiejętność, przyczynia boleści”.

Tak, tak, pomyślał Szarski, mają słuszność, że się tak bronią przed naszą sztuką.

Odłożył książkę, czytanie męczyło go; zresztą umiał to już wszystko na pamięć. Tyle razy to już czytał.

„Marność nad marnościami i utrapienie ducha...”

Pocóż ja mam się trapić? Niech się trapią inni.

Zgasił świecę i popadł w gorączkowy półsen. Widział wszystko, słyszał najdrobniejszy szelest, ale śnił.

I oto stanął na jego piersiach olbrzymi potwór, cały złotą łuską okryty, ohydne błyszczące cielsko spoczywało na dwóch ciężkich kolumnach, a cały ten ciężar wgniatał się w rozpacznie dyszącą pierś Szarskiego.

I słyszał dziki, szyszający głos:

„Jam jest Panem twoim, a imię moje — milion!

Jam jest wasze „czterdzieści cztery”, wasz Prorok i wasze Objawienie.

Ja rządę światem, a potęga moja nie zna granic.

Płodzę zbrodnie bez miary, by uszczęśliwić tych, którzy mi się kłaniają.

Zabijam, tratuję i niszczę dumnych, a podwyższam ubogich w duchu, którzy innego Boga nade mnie nie znają.

Patrz, ludzkość cała wiję się, tarza u mych nóg, kłębi się po trupach tych, których ja na śmierć skazałem”.

W niewidzialnej dłoni trzymał potwór kosztur ostro zakończony i przyłożył mu go do piersi:

„Uznaj moją potęgę, a dam ci wszystko, stań się służebnikiem mym, a motłoch ten tak się korzyć będzie przed tobą, jak się korzy przede mną”.

Ostry kosztur wwiercał się Szarskiemu w pierś i sprawiał mu ból niewymowny.

Z trudem zerwał się i siadł na łóżku.

Głupstwo, dość tych wizyj!

I jakiś cmentarnym parkanem ogrodzony spokój wypełnił mu duszę po brzegi.

Wstał, chodził po pokoju, chciał znowu sięść przy fortepianie, ale machnął ręką — po co?

Czas już, czas!

Już dojrzał do śmierci.

Śmierć, cicha, dobra, straszna, potężna, tak, jak wszelka piękność...

Namyślał się... Aha, toć jego manuskrypta owiązane grubym sznurkiem — tak, to najlepiej, nie ma pieniędzy na rewolwer, a trucizny nie chcą dać...

Tak, tak, to wszystko jedno — suchoty, rak, dżuma, sznurek, głód, — wszystko, wszystko marność i utrapienie ducha.

Nawiązywał pętlicę.

Zaśmiał się błędnie.

— A to ci heca — dwa pogrzeby naraz — ah! co ci biedni, głodni reporterzy na tem zarobią...

### III. ULTIMA THULE

Dwie trumny, dwie trumny, powtarzał Czerkaski machinalnie, idąc w szczupłym pogrzebowym orszaku.

Dziwna, że nie mógł sobie śmierci tych dwóch ludzi uświadomić. Zdawało mu się, że idzie za jakimś pustemi skrzyniami. Chwilę miał to śmieszne złudzenie, że jest czeladnikiem majstra stolarskiego i odwozi trumny na miejsce przeznaczenia — przecież były stanowczo puste — to znowu myślał nad tem, że w takiej trumnie, gdyby zrobił odpowiednią wentylację, mógłby, naturalnie, z odpowiednim zasobem żywności ocean przepłynąć. Rozkoszował się tą myślą, że ocean wziąłby go na bary, że trumna spadałaby z wichru fal w przepaść bezdenną, znowu wskakiwała jak gazela na postrzępiony, białym śniegiem spieniony grzebień nawrotu bałwanów, że mógłby żyć w trumnie całe miesiące — bezpieczny, żywy... he, he, he... igrać z wszem niebezpieczeństwem, śmiać się z śmierci, igrać, bawić się nią — ho, ho... Trumna z żywym trupem na łup rozszalałego żywiołu, który wie, że nic nie pomogą ni wiry ni zawroty... he, he, rozszalałe, wściekłe, poraz pierwszy bezsilne morze...

A on spokojny, cichy, bezpieczny, świadomy swej mocy, leżałby, tylko raz po raz skinąłby kapłańskim ruchem ręki jakieś bardzo poważne: *Ite, missa est.*

Ale wraz uświadomił sobie, że ci ludzie rzeczywiście umarli, że ich już nigdy nie zobaczy i zdjęła go trwoga.

Umarli — no tak! To znaczy nie żyją.

A dusze, dusze. Jak ciała astralne krążą jeszcze wokół tych martwych cielsk, jeszcze z niemi związane tysiącem nici, jeszcze się oderwać nie mogą i patrzą z przerażeniem na ten cały ohydny rozkład, na tę zgniliznę i to ciało, które... Przestał myśleć, bo przez mózg jego spłynęła piorunem straszna fala życia: rozkosz, ból, smutek tęsknoty, rozpusta tego ciała, co teraz gniło.

Dlaczego oni zmarnieli?

Dlaczego?

Zapóźno przyszli na świat.

Wtedy byli się winni urodzić, kiedy jeszcze świętą była wszelkiemu stworzeniu nagość i świętą była dusza, w czemkolwiek się objawiała w przyrodzie, czy człowieku. Wtedy, kiedy człowiek żył z całą przyrodą w najściślejszym zbrataniu, kiedy był jej cząstką, najdelikatniejszą nitką jej nerwu.

Wtedy, kiedy człowiekowi było święte wszelkie objawienie natury, wszystko jedno, czy sprzyjające, czy zgubne i niszczące.

Wtedy, kiedy syn ziemi czuł się jej atomem i w każdym przejawie duszy ludzkiej choćby najbardziej zbrodniczym widział działanie pytagorejskiego praognia, w którym dusza ludzka rozpałała się do życia ziemskiego.

Wtedy, ach wtedy... Czemuż zapóźno przyszliśmy na świat?

Dobrym i świętym był człowiekowi chaos i szal, dobrą i świętą ciekawość, co mroki szarpie, przedziera i przez na oścież otwarte okna słońce wpuszcza, mniejsza o to, czy ono zabija, czy życie daje.

Dobrym i świętym był mu tytaniczny, hardy, chrobry polot, co nieokiełznaną pychą wszelkie normy i prawa niweczy.

Dobre i święte były dumne i jasnowidzące wzloty w przyszłość i świętem było twórcze nieokiełznanie, a nadewszystko „Ja” — „Ja”, jedyne zło w tych naszych marnych, biednych czasach.

Och ten święty, wielki czas, co już bezpowrotnie przeminął!

Pycha była szlachectwem duszy, gniew i mściwość były świętymi cnotami królów, a najskrytsza chytrłość, a czasem najuleglejsza pokora oznaką najwyższej mądrości. To znowuż wzgardą i szyderstwem otaczano tego, co się nie umiał lub nie chciał mścić za krzywdy.

Pokorny, bez myśli pomsty, był nędznym tchórzem, wzgardą okrywano skromnego i wzgardą pokornego — bo to cnota rzezańców. Och, jak dobrym był wtedy ten Bóg, który ziemią i życiem rządził.

Dobrym był ojcem i łaskawym mocarzem.

I tak rzekł do człowieka:

— Chory jesteś i zdrowia pragniesz?

Patrz, bujnie zarasta moje ziemie różnorodne zioło, co uzdrowić cię może, bujnie rozrasta się jadowita trucizna, ale ty możesz z niej zrobić uzdrawiające leki.

I szedł dobrotliwy ojciec do biednych i zrozpaczonych i tak do nich przemówił: Chcesz być bogatym, szukasz skarbów ukrytych? Nadmierne jest bogactwo mej ziemi, bujnie rozpościerają się w jej wielkim łonie kosztowne żyły złota, srebra i szlachetnych kruszców. Ale duszę swoją musisz zakląć, by wyszła z ukrycia, a ona objawi ci wszystko. Twoja dusza, która od początku była zawsze zespoloną częstką mej istoty: ona wie wszystko. I Bóg przyrody, bóg dumy, nieokiełznanymi instyktów poszedł do ludzi, którzy się dręczyli rozwiązywaniem najgłębszych zagadek, i owóz i do nich przemówił dobrotliwy ojciec:

— Chcesz spojrzeć w przyszłość i odczytać runy przyszłych wydarzeń?

Badaj lot ptaków, w których duszy płonie ten sam praogień, co w twej duszy płonie. Słuchaj szmeru liści, spoglądaj w gwiazdy i w metalowe zwierciadła, odczytuj linie twej dłoni: w tysiącu form ukształtowałem twoją przyszłość, ale ty badaj, szukaj, rozwiązuaj zagadki, bo przykazaniem moim jest bystrość i chytrłość, przezorność i ciekawość twórcza i duma i odwaga i zbrodnicze łamanie praw.

*Aleppe Satanas! Aleppe!*

Świetlany, światłem darzący Szatanie, Paraklecie!

Był bogiem instyktów i cielesnej rozkoszy, czczony zarówno przez najwyższych pomazańców ducha, jak przez niskich i maluczkich. Był niewyczerpanym źródłem życia, rozrodu i szału. Kobietę obdarzył sztuką wabienia, tarzał się w orgii barw, wynalazł flet, wprawiał w rytmiczne poruszenia mięśnie, aż święta Mania ogarnęła serce, a święty Phallus swym nadmiarem zapłodnił urodzajne łono. Był Apollinem i Afrodytą w jednej postaci. Był bogiem ogniska domowego i bogiem domów rozpusty, budował muzea i wspaniałe świątynie, zapalał artystę szalem twórczym i troskliwie strzegł płodu matczynego łona.

Różnokształtu jak życie, wszechwładnie i szlachetnie, ohydnie i zbrodniczo, jak cała przyroda, dobrotliwie i złowrogo panował wówczas Bóg Artysty-Twórcy.

I czemuż oni teraz zmarnieli?

Bo Bóg piękności i bogactwa został wygnany, strącony z swego tronu.

I nastąpiło przenicowanie wszystkich wartości: piękność stała się ohydą — rozkosz upojenia, w którym oczy człowieka patrzą w niewyczerpany czar i głęb życia, stała się rozpustą, samowolne panowanie nad własnym życiem i śmiercią tchórzostwem, miłość, nierządem, nagością, wstydem, zbytek i przepych marnotrawstwem — o piekielny czas, w którym teraz żyć trzeba.

Czerkaski szedł zwolna za trumną, a myśli jego coraz uporczywiej powracały do tego samego tematu:

Ta, którą piana morska porodziła, która w perłowej muszli płynęła przez wszystkie oceany, stała się prostą nierządnicą.

Bóg światła i muzyki został jednym z najlichszych pacholców szatana chrześcijańskiego, bo stworzył muzykę, a przez nią melancholję, „oną piekielną łaźń, w której djabeł dusze kąpie”.

A naga, szlachetna, nieświadoma ni grzechu ni cnoty Psyche, pokryła się zgrzebną koszulą i włosiennicą...

Ha, ha, ha...

I w takim świecie być artystą i tworzyć — ha, ha, tworzyć piękno, nagość — być mocnym, śmiałym, bezwzględny!

Ale nie opuścił dobrotliwy ojciec swych dzieci, ojciec nieszczęśliwych i nędzarzy, ojciec Twórcy i tego, którego dusza się zwraca do dawnej piękności.

Nie było już potężnych a świętych orgii, w których dusza człowieka zawsze upojenia żądna, rozpasaby się mogła, niema ni świąt Dyoniza, ani misteryi Eleuzyńskich, ani nawet surogatu Saturnalii — sabatu czarownic.

I wielkiego księcia ciemności zdjął smutek nad duszą ludzką, co się upoić, co zapomnieć nie mogła.

I myślał długo i myślał głęboko, aż wreszcie nauczył człowieka wytwarzać — he, he: opium, morfinę, gin, absynth, wódkę — he, he: to był ósmy dzień stworzenia! Dzieła Boga dopełnił Szatan, ojciec smutnych i nieszczęśliwych.

Tak, trzeba było piękność zniszczyć, by potomkowie Abrahama mogli się rozmnożyć, jak gwiazdy na niebie, jak piasek na brzegu morskim.

I dotrzymano obietnicy.

Rozmnożyli się zjadacze chleba i mszczą się na tych, co tęsknią, co wyciągają ręce ku nieznanym bogom, co szukają poza słowem, zdawkową monetę służącą do określania: „to moje, to twoje”, innej pierwotnej piękności, kiedy słowo świętem było, natchnieniem i bogactwem. Mszczą się na tych, którzy piękność nad pożytek przenoszą, zbytek nad mierność.

I z dziką pogardą patrzył Czerkaski na ten tłum artystów, co się umiał zastosować do wymagań motłochu.

Tam ten tłusty, zadowolony z siebie, on co kiedyś święty ogień miał w sobie, dziś fabrykant wytwornych mebli, malarz plafonów w wilach bogatych żydów, tapicer, dekorator.

Tam znowu jego dawniejszy kolega szkolny obdarzony niezwykłą siłą słowa: dziś podła gadzina dziennikarska, podpatrująca życie artystów, aby potem z zawiści chyłkiem opluwać je swym jadem.

Wszystko to dlatego, że to daje kilka tysięcy rubli dochodu rocznie.

Ten znowu kretyn i rozpustnik wziął posag za żoną, a teraz głosi najszczytniejsze ideały społeczne.

A ten ostatni łajdak i oszust, który wyzyskuje krwawą pracę biednego artysty... a gra rolę dobroczyńcy i opiekuna sztuki...

Zdjął Czerkaskiego taki wstręt i obrzydzenie, że chciał nawrócić do domu.

Czuł się skalanym, zbrudzonym, że idzie w szeregu tych ludzi i wydawało mu się, iż kała pamięć tych, których kochał.

A Wisła ziała malaryą. Ale jakiś wewnętrzny upór nie pozwalał mu nawrócić. Jakiś tradycyjny przesąd nie pozwalał mu odejść od trumien przyjaciół; szedł, szedł na daleki cmentarz i nagle ogarnęła go straszna myśl: a może nauka o metempsychozie jest prawdą, może te dwie dusze, które ten marny ścierw opuściły, przeobraziły się teraz w jakieś marne bydlę lub płaza; może w tej chwili nastąpiłem nogą na tę duszę, na tego robaka, w którym ten biedny Szarski!

I kto wie, czy ja go nie zmusiłem do nowych przeobrażeń?!

Drgnął.

Stali nad otwartym grobem poza cmentarzem, na którym dwie trumny złożono. A teraz on Czerkaski, który już zapomniiał, że tkwią łyżki pod powieką, ryknął wielkim płaczem.

Nie był to płacz nad przyjaciółmi zmarłymi, nie był to płacz nad samym sobą, ani płacz nad przypadkową tragedją ludzką, tylko straszny, rozpaczliwy ryk:

„Na coś nas Boże stworzył?”

I w tej chwili zawstydził się, bo czuł na swoich plecach ciekawe oczy i tłustego dziennikarza i niemniej ospałego rzeźmieszka literackiego i reportera, który w swoim notesie zapisywał już wrażenia pogrzebu i oczy jakiejś literatki, która stroiła się w żałobne szaty po zmarłym kochanku; cisnął grudkę ziemi i zdjął go wstręt do tych niecných komedyi.

Odszedł.

Był bardzo osłabiony, siadł na wilgotnej trawie i powtarzał bezmyślnie:

„*Aleppe Satanas, Aleppe*”!

A nagle w mózgu jego zaczęła wirować jakaś dzika, cyniczna myśl:

— No i cóż z tego, że dwóch ludzi się zabiło. Zdechli i koniec. Nie umieli żyć, po co się mieli męczyć. Dobrze zrobili, o dobrze. Jeżeli się nie umie żyć, to jedyny praktyczny środek, życie sobie odebrać.

I nagle:

— Po co ja żyję?

A z duszy jego wyrwał się krzyk:

Hanka, Hanka!

I dziwne.

Zapomniał o przyjaciółach teraz już ziemią przysypanych i objęła go jakaś rozpaczna tęsknota za Hanką.

Teraz mógłby pójść do jej męża i powiedzieć mu w oczy:

Przecież ona jest moja!

Wstał nagle i nie żegnając się z nikim, wsiał do doróżki i co koń wyskoczy, kazał śpieszyć do swego mieszkania.

Przez całą drogę rozmyślał w jaki sposób Hankę zobaczyć może.

Myśli mu się plątały... powrót i nawrót myśli paraliżował się wzajem, wreszcie całkiem zatracił świadomość tego, co zrobić może i tylko z cicha, z bezmierną rozkoszą powtarzał to słowo: Hanko, Hanko, Hanko...

Doróżka wlekała się, jak po grudzie, a Czerkaski niecierpliwił się, bo czuł, że Hanka na niego czeka.

Hanka!

Piorunem przeleciało mu całe jego życie przez mózg i zdumiony zapytał sam siebie, jak się to wszystko stać mogło?

— Przecież ja nikogo, prócz Hanki, nie kochałem! W niej zbiegają się linie mego przeznaczenia. Jej dusza prowadzi mnie w zaświatowe byty.

I nagle z siłą:

— Wezmę Hankę ze sobą, ona, ona jedyna.

A teraz zdawało mu się, że ma ją przy sobie i tuli i pieści:

— Hanka, pojedziesz ze mną? — Jest morze, które zamarza zimą, taka bezgraniczna biała równina. Weźmiemy sanki, ja otulę cię mym płaszczem, takim szerokim, królewskim płaszczem gronostajowym, na sercu mem cię ogrzeję. A potem konie poniosą nas po tej zamarłej, trupiej równinie, po lodach i śniegu aż hen, hen, tam, gdzie kraj tysiąca jezior i wieczna wiosna i ciepło i jasne noce...

Hanko, chcesz?

I jak błysk gwiazdy porannej usłyszał echo jej myśli w swem sercu:

Chcę...

Ocknął się. Wreszcie doróżka stanęła przed jego mieszkaniem.

Był zły, że tak szybko przerwano mu jego cudowne majaki.

Wszedł do mieszkania.

W progu stała Hanka.

Patrzył na nią, jak nieprzytomny, bo zdawało mu się, że to tylko dalszy ciąg jego śnień o piękności. Patrzył chwilę, zrozumiał wreszcie, że to rzeczywistość i z głęboką radością przypadł do jej nóg.

Toś ty? moja Hanko! toś ty?

Ona skłoniła się ku niemu i tak przyklękła obok siebie na dywanie, jak dwoje małych dzieci w szczęściu i zachwycie.

I tak szedł dzień za dniem.

Byli szczęśliwi... Czerkaski pogrzebał całą swoją przeszłość, zapomniał o wszystkim, co było poza nią, a dusza Hanki oszołomiona opromieniona nowo zbytem szczęściem miłości rozkwitła w dziwnie uroczy kwiat.

Nie myślała o tem, że jeszcze jeden krok, a w przepaść runąć może, ani na chwilę przez głowę jej nie przeszło, że zdradza męża, że żyła snem we śnie i w tem upojeniu szczęścia zatraciła zupełnie poczucie rzeczywistości.

Czasem Czerkaski zamyślił się nad tym stanem upojenia, czasem go szarpnął boleśnie widok tego człowieka, którego oczy w teatrze tak rozpacznie w duszę jego się wpiły, ale był szczęśliwy.

A często wieczorami, kiedy Hanki przy nim nie było, targał się myślami.

Dlaczego ja jej przed dziesięciu laty nie poznałem.

— Dlaczego to życie tak złośliwe i głupie, że w tak nikczemny, podły sposób ludziom losy wikła. Po co i na co? Na co te wszystkie męki?

Dlaczego jeżeli się ludzie, po długim szukaniu po długiej męce dobiorą, to wtedy dopiero otwiera się ponad ich oczyma straszna rzeczywistość, bolesna rosterka, hańba, potępienie?

Czerkaski zaklął i wikłał się w nowych pytaniach. Co za sens ma ta straszna męka życiowa?

Co za jakieś szatańskie przeznaczenie, los, czy diabli wiedzą co, kojarzy na to kobiety i mężczyznę, by ich dręczyć, powoli i z więcej niż szatańskim wyrafinowaniem i okrucieństwem w serca ich nóż zatapiać.

Co to wszystko ma znaczyć?

I z wstrętem myślał o kobiecie, zmuszonej prawem przebywać u boku niekochanego męża. Wyobrażał sobie te dreszcze lęku, cały smutek tej nędzy. Ha... ha... dobór płciowy!

Tak, panie Darwin, gdyby pańska teoria w życie społeczne ludzkości wcielić się dała, to miłość nie byłaby tak zohydzoną, jak jest teraz, a święty akt miłości, któremu wszyscy zawdzięczamy życie, to przez nas tak ukochane życie, nie byłby plugawą rzeczą za jaką wszyscy go uważają.

A piękność ciała ludzkiego nie byłaby naczyniem brudu i śmieci, które rozpustne ręce rozgrzebują.

I gorącym westchnieniem zapragnął czystych ust, któreby najrozpustniejsze słowa mogły wymawiać z taką czystością, z jaką kiedyś w dzieciństwie pacierz odmawiała.

Zatęsknił gorąco za pięknnością starej Helady, tej która w Sympozjon Platona w gorących a boskich pieniach na cześć miłości, tak święty wyraz znalazła.

Rozejrzał się myślą dookoła. Przed oczyma jego przesunął się orszak pogrzebowy — ujrzał znowu znajome twarze: rozpustników, gwałcicieli nieletnich dziewcząt, rajfurów, którzy stoją na ołtarzu opinii publicznej i rzucają pioruny na tych, którzy żyją w miłością uświęconej czystości; a oni to właśnie miłość tę zohydzają i robią z niej bagno i brud.

Czerkaskim wstrząsnęło głębokie oburzenie. Ale znowu cicho się uśmiechnął i powiedział sobie:

Niech świnię zostaną świniami, ja stoję poza obrębem tego wszystkiego i dla mnie miłość moja pozostanie czystą, świętą i szlachetną.

Wstał i zaczął szybko chodzić wzdłuż i wszerz pokoju.

Zapomniał o zagadnieniach społecznych, machnął ręką na to wszystko, co mu przed chwilą przez mózg się przesunęło, raz jeszcze uczuł tę wielką, królewską świadomość tego, że on jest sam jeden, a Hanka do niego należy.

Co go mogli ludzie obchodzić? Co ich hipokryzja? co ich błoto i bagno, kiedy jego miłość była święta, czysta i wielka?

Stanęła mu w pamięci jego żona i ze zdumieniem przekonał się, że nie czuł już najmniejszego rozgoryczenia, że stała mu się zupełnie obojętną, że w duszy jego odbijało się tylko bezdźwięczne echo jakiejś dalekiej, dalekiej przeszłości.

I nagle pomyślał, że może pożycie jego nie było wcale węzłem miłości związane i jeszcze pomyślał, że całe to jego pożycie to może tylko przykry sen. A naraz powiedział głośno:

— Przecież ja nigdy z nią nie żyłem! Skąd te zmory, te urojenia? Przecież ja tylko Hankę, Hankę w sobie nosilem...

I tak doszczętnie zagubił świadomość i pamięć swej przeszłości, że zląkł się o siebie. Zimny pot wystąpił mu na czoło, był pewien, że nastąpi recydywa choroby.

Rozglądał się po pokoju, a wzrok jego spoczął na w okół rozwieszonych akwafortach Goyi.



Jakieś legendarne zwierzę, coś w kształcie gryfa, z tułowiem szalonego ogiera z rozpiętymi, olbrzymimi skrzydłami, niesie na swym grzbiecie w jakiś ciemny straszny przestwór dwojga ludzi: mężczyznę i kobietę. On silnie wsparty trzyma w swych ramionach kobietę z płomiennym, jasnym włosiem, z rozpacznie wyciągniętymi rękoma.

— Tak, to ja sam; ja ją porwałem i ja ją unoszę. Dokąd... Chryste Panie! Dokąd?..

Groza i męka rozszalała się w jego sercu.

Oczy, te skrwawione oczy ptaka wlepiły się aż na dno jego duszy.

A ten czarny, bezdenne przestwór!

Gdzie jego granice i jakie zeń wyjście?

Co czeka na jego dnie?

Szeroko rozwarłe oczy wlepił w przyszłość — ciemność — ale tylko ciemność bez końca...

Strach zjeżył mu włosy.

— Czyż nie ma wyjścia?

— Jest! — szepnęło coś z cicha do jego ucha. Oczy jego błędziły po wspaniałym sztychu Klingera.

W odmiecie fal powietrznych na dwóch olbrzymich delfinach siedzi dwoje nagich ludzi w namiętnym upojeniu i w takim szale rozkoszy, który w ból przechodzi. A silny bezpamiętny splot ich ciał tak piękny, jak piękną jest świętość i czystość. Święta MANIA Miłości spłynęła na nich przepotężną łaską.

Gradem lecą na nich kamienie potępienia, złorzeczeń i błota ludzkiego, ale oni tego nie czują, oni — w swej nieskalaności wniebowzięcia...

Usiadł, bił się jeszcze z myślami, ale nagle uczuł ten wielki spokój człowieka, który po ciężkich mękach wreszcie coś postanowi, ten wielki spokój człowieka, który załatwił ze światem i sobą wszystkie rachunki i chociażby widział przepaść przed sobą nie cofnie się już, ale śmiało naprzód pójdzie, chociażby pod jego stopą przepaść się otworzyła i życie miał weń postradać.

Hanka musi być przy mnie, Hanka jest moją, a chociażbym miał się na śmierć zamęczyć piekielnym wspomnieniem jej męża, Hanka będzie przy mnie i ze mną.

Poniosę ją na tym szalonym gryfie mej miłości, chociażby się rwała w rozpaczem poczuciu obowiązków, a może znajdziemy to wielkie szczęście upojenia, jak tam oto tych dwojga, co nie czują razów kamieni, czysci, chociaż ich kałem i błotem obrzucają, i święci nawet w zbrodni.

Tysiąc pytań, tysiące wątpliwości, lęk, wyrzuty sumienia, to wszystko kotłowało w bezładnym chaosie w jego głowie, ale podziemny jakiś, ukryty głos nakazywał mu głosem władcy nie z tego świata:

Postanowiłem!

A burza w jego mózgu srożyła się, szalała i wichrzyła coraz mocniej.

Ale głos podziemny powtórzył z wielkim, królewskim majestatem.

Postanowiłem!

I tuż uczuł jakąś wielką, dziką rozkosz, by zapanować nad tym dzikim chaosem i zamętem w swym mózgu. Uczuł dreszcz dumy, że w nim objawiła się siła i wola jakiejś potęgi nieznannej, niezgłębionej, a odwiecznej i świętej, że jak w krzaku ognistym Bóg w nim przemówił:

„Ona jest duszą twojej duszy, jest linią twego przeznaczenia i tobie jednemu dałem do niej prawo”.

A teraz burza zamilkła i z cichym radosnym szepcieniem powiedział:

Postanowiłem!

Z dalekich wspomnień wyłonił się wspaniały obraz.

Przypomniał sobie ostrą, mroźną noc, gdy przez zmarznięte morze pędził saniami —

Ten potężny biały majestat śniegu, ten dziwnie próżny majestat śmierci i ta ogromna, zastygła cisza cmentarna.

Radosny dreszcz przebiegł jego ciało.

— To będzie nasza podróż ślubna — szeptał:

Tam, tam, po przez tę pustynię śnieżną, tam gdzie kraina tysiąca jezior, kraj wodospadów i lasów dziewiczych, kraj wiecznej wiosny, zdala, zdala od tych strasznych malaryi, które tu wszystkim swym jadem krew rozkłada...

Późną nocą zaszedł do restauracji pod białym pawiem.

Naokół wielkiego stołu siedziało kilku malarzy, paru literatów, kilku „genjuszów bez teki”.

Stasinek jak zawsze błędził pijanemi palcami po fortepianie, ale tym razem cała gromadka była jakaś chmurna i milcząca.

Śmierć dwóch kolegów zaciężyła duszną atmosferą.

Jakieś straszne „memento mori”, a każdemu z nich zdawało się, że muska go skrzydełko śmierci.

Pili w milczeniu, albo też po cichu opowiadali sobie tajniki z życia swych zmarłych kolegów. Albo też z rozpaczem kpunami wskazywali tego, na którego teraz kolej przyjdzie. Jednego kiła żarła, drugi znów szamotał się w ostatnich zapasach z suchotami, innemu zaś nałóg pijaństwa wszystkie siły poderwał. Tamtego malarya trawiła...

Jakie to straszne.

Ale stokroć straszniejsza ta malarya moralna, która zdrowych niszczyła.

O ten, ten z najzdolniejszych frymaczył swoją sztuką, jak ostatnia ładacznicą swem ciałem. Tamten znowu gałgan, łotr i oszust, człowiek, który cały swój czas w lupanarach spędzał, redagował organ kościelny i zachęcał ludność do bicia żydów. Ten znowu wyuzdany cynik, malował obrazy świętych i opowiadał jak modli się przed rozpoczęciem swej pracy...

Skąd ten niepojęty fałsz, ta ohydna obłuda, to bezwstydną kłamstwo?

I przecież każdy z nich wiedział, że oszukuje swoje społeczeństwo, każdy z nich kłamał z śmiałym bezwstydnym cynizmem.

Czerkaski myślał długo, skąd ta bezczelność i bezwstyd się bierze. Dlaczego społeczeństwo ten bezwstyd obłudy toleruje, bo przecież wie, że jest oszukiwane. Ha, ha, ha... splunął i chciał wyjść.

Ale w tej chwili podszedł do niego Stasinek i mówił smutnym głosem:

Wiesz, tyś mi straszną przykrość wyrządził. Powiedziałeś temu łajdakowi, co się ciebie czepiał, że ma się ze mną spichnąć przeciwko tobie. Tym razem ogromnie się pomylił.

O, to nie to, to nie to. Bo ja cię bardzo i głęboko kocham. A jeżeli jestem kiedyś wściekły na ciebie, to wściekłość mojej niemocy, to to, że i ja czuję w sobie iskrę bożą, a wyrzeszać jej z siebie nie mogę. Jeżeli kiedykolwiek uczuję nienawiść, to nienawiść niewolnika, którego pan buduje piramidy, a jemu za ledwie kamienie ciosać wolno. Otóż widzisz, dlatego ja piję, dlatego ja się poniewieram i służę za tarcz waszych kpini i docinków. Mój organizm niedociągnięty — muszę go sztucznie podniecać, aby mózgi w ogóle żyć...

Zamyślił się nagle, a po chwili:

A ja żyć chcę, bo ja muszę coś zrobić, muszę!

— Zaczem coś będziesz w stanie zrobić, to ci alkohol komórki twego mózgu doszczętnie zniszczy.

— Nie pomoże alkohol, to pomoże morfina, opium, szalej, wszystko mi jedno, ale ja muszę coś stworzyć, coś tak wielkiego, tak niesłychanego...

Podniecał się coraz więcej, aż wreszcie wpadł w wściekłość.

— Coś, coby o całe niebo, wszystko coś ty stworzył, co oni wszyscy razem stworzyli o całe niebo przerastało.

Czerkaskiego zdjęła nagle ogromna litość nad tym obłędem niemocy i bezsiły, nad tym chorem bełkotaniem pragnienia sławy i potęgi.

Spojrzał w stronę stołu, tuż naprzeciw siedziało tylu zdolnych ludzi, którzy wszystkie swe siły marnowali na całodziennej pracy w jaskiniach redakcyjnych najpodlejszego gatunku.

I to ich cała rozpacz, że dusze sobie brudzili, podlili kłamstwem, które jakiś sprytny geszefciarz, szubrawiec, ich szef, pisać im kazał. Pluli w swą duszę, zębami zgrzytali, ale

pisać musieli, bo tak szef przykazał. A zimą spać na bruku nie mogli, a śmierć głodowa niemiła, a kłamstwo coraz więcej wrosło w duszę, a rezygnacja przechodziła w cynizm, a zawść i zazdrość trawiły duszę aż do dna, aż wreszcie ten, który kiedyś w swej duszy piękno i prawdę ukochał, który odważnie stawiał czoło obłudzie i hypokryzji stawał się pelzającym w błocie gadem.

I nagle ujrzał z przerażeniem obraz tego społeczeństwa, które tak ukochał.

Widział jak obrzydliwe jakieś pająki omotały siecią podłoty i kłamstwa ten biedny, nieświadomy naród, wykoszławiły jego pojęcia, sączyły jad zawści, usypiały jego czujność i energię kłamliwymi opowiastkami o jego wielkości i potędze. Najlichsza miernota mogła potem tę zgłodniałą i chciwą użycia bandę przekupić i stać się nagle olbrzymią sławą, chlubą narodu...

Uśmiechnął się smutnie.

Och, ci „nasi zaszczytnie znani”, „nasz słynny rodak, nasz chlubnie znany rodak, który imię naszego narodu po całym świecie rozniósł”, „nasz mistrz ukochany i przez naród uwielbiany”.

— Ha, ha, ha...

Nagle go zdjęła straszna litość nad tymi wszystkimi schyłkowcami, ludźmi wykolejonymi, a którzyby tak nieskończenie wiele zrobić mogli, i podszedł do stołu.

Siedział tam architekt ogólnie znany pod nazwą Toma, jedyny którego uważał za rzeczywiście silnego w całym zgromadzeniu.

— Chodź. —

Tom w tej chwili powstał. Wyszli na ulicę.

Szli w milczeniu, a nagle Tom przystanął przed świeżo wybudowanym pałacem.

Stał długo, oglądał się wokół badawczym okiem a wreszcie:

— Patrz, jak umiałem zachować czystość linii, patrz, jakie to piękne.

Czerkaski patrzył z podziwem.

— Tak, to rzeczywiście piękne.

— Bo widzisz, Tom zapalał się coraz więcej, oczy mu błyszczały, ogień młodego zapалу buchał z całej jego twarzy.

— Architektura to święta sztuka. Dzisiaj architektów nie mamy, są tylko rzemieślnicy. Czy sądzisz, że oni wiedzą, czym jest linja?

— A ja czuję linję, czuję ją, jak Szopen czuł ton jak ty słowa odczuwasz.

Linja dla mnie nie jest kreską martwą, kombinacja moich linii, gdy coś buduję, to nie matematyczne obliczenie, każda linja jest dla mnie symbolem jakichś dziwnych uczuć podświadomych, twórczych.

Tego ci wytłumaczyć nie mogę, ale często chwytam się na gorącym uczynku: nagle spostrzegam, że ja tylko linjami myślę i czuję, że ja linjami w budowie wyrażam istotny stan mojej duszy, że byłbym w stanie linją oddać moją miłość, moją nienawiść, wszystkie moje zachwyty i ekstazy.

A nagle prawie tajemniczo:

Wiesz, ja ich rozumiem tych starych mistrzów budownictwa, zdaje mi się, że oni musieli tak czuć linję i bryłę, jak ja ją czuję.

Oni budowali swoje wniebowzięcia, budowali swoje kajenia się grzechu, to znów niebiańskie zachwyty rodu ludzkiego; budowali przybytki cichego szczęścia i spokoju, wybuchy nieokiełznanej namiętności i nadziemskich wzlotów.

A my, nędzne karły — krztusił się od wściekłego śmiechu — my budujemy Bierpaläste, Kaserne i „secesye” dla żydowskich bankierów, albo też spaskudzamy wielką pięknosć starych kościołów...

Och, mieć miliard! mózdz tworzyć!.. W każdym kątku tej ziemi wskrzesić piękno, to czyste szlachetne piękno dawnych dni. —

Czerkaskiemu rozradowała się dusza, że ten przez niego tak ukochany naród zdołał już ze siebie wyłonić takie jednostki, których dusza na oścież dla piękna otwarta, w których płonie ogień ducha świętego wielkiej, jednej, niepodzielnej sztuki, tej, którą szal twórczy rodzi i moc, a nie pożytek.

I tak długo w noc błądzili po ulicach starego miasta. Obaj byli niezwykle pobudzeni, aż wreszcie Czerkaski przerwał milczenie.

— Słuchaj, Tom, tyś mocny chłop, ty masz wielką siłę, ale tu najmocniejszy ostać się nie może. Ani się nie spodziewasz, a jad malaryi dostanie się w twoją krew i zeżre cię do cna. Uciekaj czemprowadź, uciekaj!

— Ja się tu ostoję, bo mam trochę pieniędzy, ale — zdaje mi się, że posłucham twojej rady, mam straszny lęk przed tą malaryą. A ty, co ty ze sobą zrobisz?

— Ja, ja, drogi chłopie, pojedę do krainy wiecznej wiosny, tysiąca jezior, do kraju wodospadów i lasów dziewiczych, zdala, zdala od tej strasznej malaryi, która tu wszystkim naokół swym jadem krew rozkłada. Przez śmiercią mrozu ścięte morze, poprzez śnieżnym całunem pokryte fale, tam gdzie cicho i spokojnie...

— Dokąd?

— Tobie dam pierwszy znak życia, gdy już będę się czuł bezpiecznym, że malarya mnie nie dosięgnie.

— Sam jedziesz?

Nie. — Jadę z tą, która chroni mą duszę od tej zarazy, przez którą dziś już odzyskałem dawną moc twórczą i siłę, by się raz wreszcie z tego bagna wyrwać.

— To dobrze, to dobrze — powiedział Tom.

Pożegnali się.

Przyszedł do domu i chodził podniecony długo po pokoju. Zapomniał nagle o sztuce, o malarji, tylko jakaś niezmierna, pragnąca tęsknota przelewała się w sercu jego za Hanką.

Roziskrzyła mu się dusza lśniącym kryształem śniegu, co białą, śmiertelną płachtą pokrył całą ogromną równinę, jak daleko oko sięgało, aż hen poza wieś rodzinną, aż hen pod Górki, tam gdzie stał mały kościółek wiejski.

A kiedy słońce skłaniało się ku zachodowi, wtedy stał i wyczekiwał bicia dzwonów na Anioł Pański. Wsłuchiwał się w mrozem iskrzącą się ciszę, w olbrzymi, martwy spokój śpiącej ziemi, patrzył, jak śnieg zwolna siniał, to błękitniał, a nagle falą upojenia i cichego nabożeństwa spływały w jego dziecięce serce majestatyczne dźwięki dzwonów...

Jaki się wtedy czuł szczęśliwy —

— Hanka! — wykrzyknął.

I dusza mu się rozmała rozkwitła wiosną. Oddychał zapachem róż i kwieciami drzewek migdałowych.

Rwał po polach modrak i maki, zbierał ich całe naręcze i w ciernistej altanie, porosłej nygusem, wiał wianki na cześć Panny Marji i zawieszał je na Bożej Męce w zbożnej pokorze. Wspominał tę rozkoszną chwilę, gdy w dniu jego imienin prowadziła go cudnym rankiem matka do kościoła, by na intencję tego przyszłego szczęścia do Boga wnieść modły.

Djamentowa rosa wisiała na kwitnącym zbożu, żółte łany rzepiku budziły się z snu, oddychały głęboko, prostowały swe kiście, wyciągały się, jak człowiek z snu zbudzony, ale nie do znoonej pracy, lecz, by się sycić słońcem, wsysać w siebie najrozkoszniejsze soki ziemi i całą atmosferę zapachów i woni, głosić cześć i chwałę tej pięknej, kwitnącej ziemi, w której Bóg mieszka...

Hanka!

To znowu widział straszną burzę, gdy pioruny, jak grad sypały się w zburzone, czarne jezioro i w niebotyczne topole, które rosły nad jego brzegami tuż pod domem jego ojca. Widział potoki ognia, patrzył, jak się topole uginały, widział, jak piorun roztrzaskał wierzbę starą, a dwoje ludzi przytulonych do siebie padło bez życia...

Hanka!

Szedł wąską ścieżką ciemną nocą między dwoma kanałami, w których torf kopano. Znał tu każdą drogę, znał każdą kładkę, przez którąby przejść mógł, ale błędne ogniki wodziły go po manowcach, lękał się nogą stąpnąć. Błądził, drżał jak osika w śmiertelnym lęku, bo każdy niepewny krok mógłby życiem przepłacić; błądził dalej, szedł naprzód i cofał się, aż wreszcie przystanął zrozpaczony, siadł na wilgotnej ziemi i głośno zapłakał.

A tam w domu czekała nań matka w śmiertelnym strachu; na milową przestrzeń słyszał bicie jej serca, gdyby okropny jęk zboliałych dzwonów. A tam ojciec prerażony całą wieś zwołał, by chłopcy z latarniami jego dziecko odszukali. Zaroily mu się w oczach od światła i światełek, aleć nie — to te piekielne, błędne ogniki, dusze masonów: strach!

Nogi zachwiały się znowu pod nim i upadł. A grzęzka ziemia zaczyna się pod nim uginać, usuwać i leci, leci, leci w ciemność...

Hanka!

A morze jak widne i szerokie lodem i śniegiem pokryte.

Sanki w uprzęży trzech rysaków pędzą co koń wyskoczy po martwym jego łonie. A Hanka tak gorąco do niego przytulona, schowana pod jego futrem niedźwiedzim, z nim razem dąży tam, gdzie w ciemnej nocy smuga latarni morskiej znaczy drogę, a potem dalej i dalej choćby na koniec świata, ale razem...

— To szczęście! Niech ono będzie bezmiarem rozpacy, bezmiarem zgryzot, bezmiarem wyrzutów palących —

— Niech ono będzie najboleśniejszym, ale pozostanie szczęściem, bo taka miłość pięknem jest —

— Niech ono będzie całym rajem wspomnień wierzącego dziecka —

— Niech ono będzie wiosennym drganiem całej przyrody, która olbrzymiem tętnem wali o spiż jego serca. —

— Niechaj będzie rozszalała burzą sypiącą gromy i błyskawice na jego głowę —

— Niechaj go tumani błędnymi ogniami po ścieżkach z których lada krok w przepaść bezdenną runąć można — Ale z Hanką, to szczęście!

Hanka!

I tak chodził długo po mrocznym pokoju i tęsknił i wołał za nią w noc ciemną:

Hanka!

Haniu, jutro pojedziemy.

Czerkaski mówił to stanowczym rozkazującym głosem.

— Ja muszę żyć w prawdzie i piękności.

Nie chcę upodlać swej duszy. Przecież byłoby to dla mnie niezmiernie wygodnym, przeżyć cały raj pieszczot z tobą, a wszystkie obowiązki twemu mężowi pozostawić. Ale ja cię kocham i to byłoby dla mnie upodleniem i męką najcięższą. A ty Hanuś, ty która masz tak czystą i piękną duszę zrozumiesz to, że gdybyśmy tak dalej jego zdradzać musieli, to z czasem miłość nasza stałaby się brzydką, bo musiałaby się stać lękiem, kłamstwem, obłudą i co najstraszniejsze: bezprześcannym wyrzutem sumienia.

Hanka drżała.

— To ponad moje siły, ponad moje siły.

— Nie, nie Hanuś, nie — szeptał cicho i miłośnie...

Hanula, wczoraj całymi godzinami myślałam o tobie. Byłaś białym, lśniącym śniegiem, co tysiącem blasków roziskrzył mi duszę. Widziałem cię odzianą w kwietnią pychę wiosennego kwiecia, czułem cię w dzikiej, rozszalałej burzy nad spienionymi falami jeziora, widziałem cię jako błędne ognie, co w przepaść mnie prowadziły... Wszystko przeżyłem, co człowiek przeżyć może, a teraz Hanka...

Zamyślił się, a po chwili:

— Powiedz, Hanuś, twoja dusza czysta i biała, sama rozsądz, co jest większym złem; okłamywać, zdradzać tego pięknego człowieka, który może coś przeczuwa, ale pewności mieć nie może i męczy się straszliwie, czy też powiedzieć sobie, to nie jest mój dom, bo moim domem jest dom Czerkaskiego.

— Zrozumiałaś mnie?

Podniosła na niego szeroko rozwarłe, wylękłe oczy. Poraz pierwszy roztworzyła się przed nią cała straszna otchłań życia.

— Hanka, zrozumiałaś mnie?

Zbladła, łzy jak duże perły ściekały po jej policzkach. A on chwycił jej ręce i mówił z coraz większą mocą:

— Zrozumiałaś mnie wreszcie?

— Tak.

Siedziała na sofie w jakimś bolesnym, błędnym zamyśleniu. On chodził wzdłuż i wszerz pokoju i długie milczenie.

A nagle Hanka zerwała się, całym ciałem padła na ziemię, włosy jak dwie wzburzone fale rozlały się w okół jej małej główki.

— Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

Dusza jego lodem się ścięła.

— Czemu nie możesz?

— Bo... ty wiesz...

Wypowiedziała te słowa tak silnie i tak rozpacznie, że w tej chwili ją zrozumiał. Podniósł ją z ziemi, posadził obok siebie, głaskał z bezgraniczną miłością jej złote włosy.

— Nie lękaj się, to coś miała teraz na myśli, to dawno, dawno zapomniane. Tak się często zamyślam nad okrucieństwem losu, że ciebie przed dziesięciu laty nie poznałem. W moim sercu nic prócz miłości ku tobie. Nie mam żadnych żalów ani wspomnień. Zapomniałem o wszystkim, żadna zmora przeszłości dusić cię nie będzie...

— Pojedziesz ze mną?

A ona rzuciła mu się na szyję i z nieskończonym zachwytem patrzyła w jego oczy:

— Pojadę.

Obsunęli się z kanapy na dywan i tulili się do siebie z wielkim, bezgranicznym smutkiem.

A milczenie ich uświęciło milczenie natury, głębokie a wielkie milczenie tej świętej ziemi w on czas, gdy się wiekiem białej śnieżnej trumny pokryje.

Nie śmiał do niej przemówić, czuł, że w jej duszy rozgrywa się straszna burza, jaka szaleje na morzach pod zamarzną powłoką lodu, czuł, jak w jej duszy coś się łamie i zapada, jak mózg jej pęka pod natłokiem najrozpaczniejszych myśli.

I słyszał, jak dusza jej łka, że musi opuścić tego, który był tak dobry, że dusza jej płacze, że musi zranić śmiertelnie tego, który tak piękną ma duszę i tak ją kochał, ale musi oderwać się od wszystkiego, z czym się zrosła i pójść za tym, dla którego wszystko, wszystkie zbrodnie popełnić byłaby w stanie i wszystkie męki przecierpieć i znieść najstraszniejsze tortury ale już na zawsze z nim pozostać musi.

A on, jakby słyszał, co jej dusza łka i płacze: powiedział głośno.

— Tak i Amen.

— Tak i Amen, powtórzyła Hanka dalekiem echem. A nagle, jakby jakaś straszna przepaść przed nią się roztworzyła: Widziała, jak pędzą jakąś bezkresną, śnieżną, trupią równinę, jakby poprzez olbrzymie białe wieko, które człowieka żywcem pogrzebanego przytłacza. Włosy jej zjeżyły się na myśl o tym, który sobie tam gdzieś pod ziemią, czy też pod straszną skorupą lodu członki z rozpachy obgryza i wije się w konwulsjach bóleści, jęczy, krzyczy i pierś szarpie.

Tchu jej zabrakło, całe ciało prężyć się jęło, głuchy, beznadziejny obłęd zaległ mglistymi opary mózg.

Takie wolne, wolne, straszliwe konanie.

Żywcem go pogrzebali.

Kto?

A serce krwią bluzgnęło: ja i on.

Hanka siedziała wciśnięta w róg kanapy, coraz straszliwsze wizje przesuwaly się przed jej oczyma. Śniła, że umarła.

Czuła, jak zwolna dusza jej w straszliwej męce odrywała się od ciała, jak dusza jej już z ciała wyzwolona była jeszcze tysiãcem nici z ciałem połączona. Serce pękało od nadmiaru męczarni, kiedy zwolna w straszliwych katuszach te nici jedna po drugiej się rwały.

A serce krwawiło.

Widziała przed sobą to bezgraniczne morze, to straszne, trupie morze pod białym wiekiem trumny, w którymby całe dotychczasowe życie pogrześć musiała...

Pogrześć!.. Na Boga! Pogrześć już na zawsze. Czuła, że on słucha jej myśli i widzi jej wizje i wpiła się w duszę jego błędnymi oczyma.

On siedział w ciężkim zamyśleniu, a przez duszę jego przelewały się czarne bałwany spienionego jeziora. Raz po raz padła wściekła błyskawica jakiejś przerażającej myśli, raz po raz czuł jak się ziemia pod nim usuwa, albo też szaleje w wybuchu wulkanu. Ale, jak jakiś daleki majak, który mu kiedyś na morzu wyczarował przed oczy płonące cuda nigdy niewidzianych krain, rozmail mu duszę gorącą wiosną, czar wielkiej, twórczej miłości.

Hanka piła z jego oczu to wszystko, co się w duszy jego działo.

To morze: to grób.

Spojrzał na nią przeciągle i powiedział.

Dla nas grobem nie będzie, dla nas stanie się ciężką mrozem, bólem i straszną męką ściętą drogą, ale drogą do krain wiecznej wiosny, do krainy tysiąca jezior, w których twa piękność odbijać się będzie, do kraju dziewiczych lasów, które nad twą złocistą główką cień swój rozwachlarzą, do kraju miękkich, wilgnych wrzosów, w których twoje ciało spocznie, gdy je upał słoneczny zmęczy, do kraju złotych piasków, w których, gdy już o wszystkim zapomnisz twoje bose nóżki po kostki grzęznąć będą.

Słuchała z upojeniem, bo nigdy jeszcze tak dziwnie do niej nie mówił.

— Tak i Amen? — zapytał —

— Rób ze mną, co chcesz.

Ale nagle w tej chwili upojenia wyrosło straszliwe widmo przed jej oczyma.

Słowa nie wyrzekł, tylko wżarł się w jej duszę.

A wyglądało to, jak okropne konanie serca —

A wyglądało to, jak konające ślepie latarni morskiej, huraganem burzy oceanu zwalonej —

A wyglądało to, jak gdyby dwie bliźnie gwiazdy zgasły i na ziemię runęły —

Hanka!

Wtulił głowę w jej kolana...

Cicho... cicho...

Ale nie było ciszy, ni ukojenia, tylko straszny lęk i przestach, że ginie jakieś życie.

Ogromne skrzydła upiora rozpostarły się czarnym cieniem w okół nich.

Hanka w przerażeniu tuliła się do niego i szeptała drżąc:

Widzisz go? widzisz?!

A on zarażony jej lękiem i strachem szeptał:

— Widzę, widzę!

Ale ta chwila rozpaczy spłynęła białą błyskawicą po jego duszy i znów stał się i twardy i mocny:

— Hanuś, pojedziesz ze mną? Nikogo niemam prócz ciebie; nie rozumiem, że mógłbym się kiedykolwiek związać z inną kobietą; szukałem ciebie długo, aż wreszcie ciebie, w tobie duszę mą odnalazłem. — Wierz, Hanka, dusze nasze były razem w czystości i pięknie, zanim jakiś piekielny los kazał nam się rozszczępić i przez łono matczyne ujrzeć światło dzienne. Życie szatańskim jakimś przeznaczeniem rozłączyło nas, ale teraz, gdy po długiej męce znowu spotkaliśmy się, nic już nas nie rozłączy. Ja wiem, jak ty cierpisz. Nie byłbym w stanie ci powiedzieć, jakie męki znoszę, ale to, co nad nami czuwa, co losem naszym kieruje, co jest naszym przeznaczeniem i rozwiązaniem odwiecznej zagadki bytu, pragnęło, abyśmy odtąd na zawsze pozostali razem.

Hanka siedziała jak w jakimś skamieniałym jasnowiedzeniu.

— Wierz, ja mojej męki nigdy się nie pozbędę i twoją duszę zbyt dobrze znam, bym nie wiedziała, że może cięższe jeszcze męczarnie poniesiesz, ale czuję, że to, co nas po tej długiej rozłące znowu na siebie rzuciło, to mocniejsze i świętsze od tego, co ludzkie prawem i obowiązkiem zwa.

Nic nie odrzekł, ale nagle przypadł do jej nóg i pytał gorąco i pytał z głębokim smutkiem i z głębokim pragnieniem.

— Hanuś, pojedziesz ze mną?

— Pojadę!

Tulił się, jak małe dziecko, do jej piersi i tylko bezustanku powtarzał:

— Hanka ty już na zawsze pozostaniesz przy mnie?

— Na zawsze —

— I wierzysz w świętość naszej miłości?

— Wierzę —

O święta godzino, gdy Duch Boży na dusze swoją łaską spływał!

O przebolesna, nieprzebrana rozkoszy, gdy jedno serce w drugie krew swą przelewają.

O przepotężne, niepojęte prawo krwawej ofiary serca wiecznie ku nowemu życiu od-  
radzającej się miłości!

— Amen.

A ona za nim powtórzyła cichem echem:

— Amen.

Pędzili saniami, jak wichur na ośle przed siebie. Hanka przerażona tuliła się w jego objęciach, aż wreszcie wybuchnęła głośnym łkaniem.

Teraz dopiero jasno rozumiała, że wszystkie mosty za sobą spaliła, że wszystkie nici z przeszłością zerwane.

I znowu miała to wrażenie, to straszne, bolesne wrażenie duszy, która się w chwili skonu zwolna od ciała odrywa.

A nic po nici pęka, a to straszliwsze od bólu porodu i boleśniejsze, bo sama siebie do nowej przeszłości rodziła.

Przetrwam tę mękę — mówiła sobie — a odrodzenie nasze, tryumf ten, że własną mocą na nowo ze zgłiszcz i popiołów siebie i jego odrodzę, wart wszystkich chociażby najstraszniejszych mąk...

Czerkaski mówił do niej gorącym szeptem:

Będziesz mi Hanuś świętym Lassah —

Dusza moja stanie się niedostępną świątynią Tybetu, do której ty jedna dostęp mieć będziesz —

Dusza moja stanie się świętym gajem, jakimś tajemniczym Romowe, w którym tobie jednej będzie można błaznić i w noc świętojańską rwać czarowny kwiat paproci —

Będziesz sakramentem w tabernaculum mojej duszy i sama będziesz ołtarzem, na którym ja kapłan Druidów złożę moje najczystsze ofiary...

A sanie zaprzężone w trójkę wściekłych rysaków, pędziły po lodzie, a śnieg się skrzył, a przed nimi ciemne przestwory, zatory i oparzeliska, a Hanka na jego piersi, tak, że słyszał bicie jej serca.

A niebo było bezgwiezdne, ale dusza jego cała rozłśniła się rozkoszą miłości, szczęścia, dumy i zachwyty.

— W bajeczną krainę wiecznej wiosny, krainę tysiąca jezior i lasów dziewiczych, hej, hej!

A tam pod tą skorupą lodu szaleje i kłębi się morze ciemności. Lada chwila wraz z Hanką w przepaść runąć może. Tam w dali otchłań bezdenną...

Ale dusza łśniła mu się radością.

I dusza śmiała mu się szczęściem, że znalazł to miliony mil, miliony lat odległe Thule, gdzie wreszcie po całej tej Gehennie życia swego pić będzie z puharu szczęścia i zbożnej miłości, z którego ongi rycerze świętego Graala pili.

Nie mógł odróżnić rzeczywistości od snu, ale tuż wezbrała go taka moc i tak potężna wiara w siebie, że zdawało mu się, żeby mógł przejść suchą stopą w ślady Mojżesza Czerwone morze, iżby mógł góry przerosnąć i silnym głosem zawołał:

Jawa!

A Hanka tuliła się z tak bezbrzeżną miłością do niego, a śnieg skrzył się, a wieko śnieżnej trumny jęło pękać, lód załamywał się, ale Czerkaski szeptał cicho: — Nie — nie — to życie!

Otchłań przed nami a skrzęca się łaska nieba zlewa się światłem mistycznych słońc na nasze głowy i to jest szczęście —

Mroźny i dziki huragan wichru oddech zapierał, ale on na to nie zważał i szeptał w cichej pokorze:

— Bądź pochwalone życie, życie mórz i huraganów, życie wściekłych nawałnic, nawrotów i powrotów fal rozpacz — Ty osi wszelkiego bytu i ty wieko trumienne, które zgnilizny pokrywasz —

Bądź pochwalone, co ogień miłości wskrzeszasz, a plód jej ohydnyemu robactwu na karm rzucasz — Co Boga w sobie nosisz, a zaród, który Duch Święty w twojem gnieździe zniesie, szatanom splugawić pozwalasz:



Bądź pochwalone!

A Hanka coraz silniej cisnęła się do jego piersi, a śnieg się skrzył w martwym świetle latarni morskiej, a lód się łamał i trzeszczał; świszczał mroźny huragan nad ich głowami, ale dusza jego lśniła się wielkiem radosnem szczęściem:

Bądź pochwalone o życie i moce twe!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/synowie-ziemi->

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Przybyszewski, *Synowie ziemi*, Lwów : Księgarnia Polska B. Połonieckiego ; Warszawa : E. Wende i Spółka, 1904.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła.

ISBN 978-83-288-0772-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).